



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ZJAZD PEDAGOGICZNY W PRZEMYŚLU.

I.

Trzy towarzystwa pedagogiczne. — Przemyśl. — Wianki na Sanie.

Obecnie istnieją już trzy towarzystwa pedagogiczne w Galicyi. Sprawiedliwość nakazuje z jednakową gorliwością mówić o wszystkich, tytuł zaś niniejszego artykułu wręcz narzuca ramy, w jakich ograniczyć się potrzeba. Szukając sposobu wyplatania się z tej trudności, na wstępie postaramy się zwięźle wyłuszczyć właśnie tę treść, która leży zewnątrz naszego tematu.

Nauczyciele gimnazyjów, politechniki i uniwersytetów zamierzali utworzyć przed paru laty osobną sekcję w łonie Towarzystwa Pedagogicznego; nastąpiło jednakże trudności formalne, że łatwiej było utworzyć odrębne towarzystwo: jakoż w roku ubiegłym powstało nowe *Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych*, które z początkiem roku bieżącego wystąpiło z poważnym swoim organem p. t. „Muzeum”. Towarzystwo szybko się bardzo rozwinęło; obok centralnego koła we Lwowie powstały nowe koła: w Krakowie, Przemyślu, Drohobyczu, Stanisławowie, a w ostatniej właśnie chwili w Tarnowie. W czasie Zielonych Świątek roku bieżącego dnia 24 i 25 Maja, Towarzystwo, z prezesem swoim, dr. Bronisławem Radziszewskim, na czele, odbyło przy współudziale 200 uczestników drugi walny zjazd we Lwowie, zaszczycony obecnością najwyższych dostojników kraju, jak J. Ex. Namiestnik, Filip Zaleski i wielu innych. Cały 7 i 8 Nr. Muzeum zadrukowano nader obszernym spra-

wozdaniem z tego poważnego zjazdu, z czego, być może, uczynimy relacją w odrębnym artykule.

Nauczyciele rusini przed kilku już laty wyrobili sobie odrębny statut towarzystwa, które jednak bardzo powoli się zawiązywało, choćby dlatego, że większa część tych nauczycieli należała do pierwotnego Towarzystwa Pedagogicznego, starającego się usilnie zarówno obie narodowości uwzględnić. I oto dowiadujemy się, że d. 24 Maja odbył się w Tarnopolu trzeci walny zjazd członków *Ruskiego Towarzystwa Pedagogicznego*, którego prezesem jest ks. Dr. B. Illicki. Towarzystwo to liczy 420 członków, wysłało już do wysokiego sejmiku petycję o polepszenie bytu nauczycieli, wydało 7 illustrowanych książek dla dzieci i młodzieży. Uchwały tarnopolskiego zjazdu zmierzały do zreformowania podręczników, a zwłaszcza książek do czytania i wogóle wszelkich pomocy naukowych w języku ruskim, jak niemniej do nabycia na własność Towarzystwa czasopisma p. t.: „Szkołna czasopis”. Postanowiono także wnieść petycję do sejmiku o zmniejszenie lat służby nauczycielskiej z 40 na 30 lat, co, jak niżej zobaczymy, i na zjeździe przemyskim również uchwalono.

A teraz śpieszymy do Przemyśla, i to z podwójną ciekawością, — śpieszymy na XIX doroczne walne zgromadzenie *Galicyjskiego Towarzystwa Pedagogicznego*, naznaczone na dzień 16, 17 i 18 Lipca r. b. Zobaczymy historyczny Przemyśl, istniejący niewątpliwie od jedenastu wieków, znany już Nestorowi, jako miasto pierwszorzędne. Zobaczymy miasto pamiątek i wspomnień historycznych pełne, oblegane i zdobywane przez wszystkie prawie narody, co się na kartkach historii polskiej zaznaczyło. Zobaczymy pomnik, wystawiony dzielnemu gwardyanowi O.O. Reformatorów, Krystynowi Szykowskiemu w dwóchsetną rocznicę jego zwycięstwa nad Tatarami (1872), jak niemniej pomnik, wystawiony bohaterowi Sobieskiemu w dwóchsetną rocznicę odsie-

czy Wiednia (1883). Zobaczymy świątynię starodawne i katedrę grecką z dobudowaną kopułą, w wyniosłym kościele po-karmalickim od r. 1785 się mieszczącą, o bogatym odnowieniu której euda rozpowiadają. Rozpoznamy może jeszcze wspaniałe niegdyś kościół Jezuitów, obecnie rupiecie wojskowe na składzie mieszczący. Zobaczymy najwyższą górę zamkową, a z niej piękną panoramę miasta i jego okolic, panoramę owego malowniczego Przemyśla, u stóp Podgórze Karpaciego, u stóp Sanu położonego; zobaczymy i te dwie pozostałe baszty na górze zamkowej, co przez rozległą równinę daleko poglądają.

Zobaczyłem to wszystko, więcej jeszcze: zobaczyłem Przemyśl nowy, pod którego oknami świszczy i bucha dymem kolej Karola-Ludwika, tutaj właśnie łącząca się z nową koleją galicyjsko-węgierską, czyli łupkowską; zobaczyłem ten rozrosły i rozbudowany Przemyśl. Parę wąskich, starodawnych uliczek, zamieszkałych przez żydów handlarzy, parę kościołów wydatniejszych, kawałek muru na Władyczu, dwie baszty, strzegące nowej budy teatralnej na górze zamkowej, zamienionej na ogród spacerowy (podobnie jak we Lwowie); wszystko to niknie wobec nowych gmachów, hoteli, dworców, koszar, redut, magazynów, fabryk. Czas jest nieubłaganym tyranem; nowe pokłady zachodzą na dawniejsze, nowy pokost pokrywa dawne rysy i tylko usilna praca zdola zaledwie ślady przeszłości na wierzch wydobyć. Tak umiejętna ręka p. Prylińskiego oskrobuje obecnie tynek nowszych pokoleń z katedry łacińskiej, wydobywając na jaw przesłizne, iscie pomnikowe presbiterium, z ciosu zbudowane, świetny zabytek przeszłości, którego niejedna stolica pozazdrościć może.

Przemyśl przyjmował w swoich murach pedagogów w r. 1873; mało to przecież wpłynęło na zmniejszenie liczby gości, nietylko ciekawych miejscowości, którą już widzieli; lista wykazuje 300 uczestników zjazdu t. j. tyle, ile się zazwyczaj

do miast prowincjonalnych na zjazdy gromadzi. Ta okoliczność, że rozwinęło się towarzystwo nauczycieli szkół średnich, również nie wpłynęła na zmniejszenie uczestników; owszem, profesorowie na zjeździe lwowskim oddawali hołd Towarzystwu Pedagogicznemu, jako starszej swojej siostrzycy, a ci nauczyciele szkół wyższych, którzy dotąd brali udział w towarzystwie, nie usunęli się: przybyli oni na zjazd do Przemysła popchniętym nawet, niż na każdy inny, aby dać dowód, że wielka sprawa całego nauczycielstwa w kraju nie cierpi wobec pozornych separatyistycznych dążeń. Miasto wyznaczyło 850 zlr. na przyjęcie gości, komitetowi czynni byli na dworcu kolei przez cały dzień 15 Lipca, udzielając przybyłym wszelkich informacji, wręczając im adresy przygotowanych mieszkań, tudzież bilety na obiady bezpłatne i ucztę pożegnalną. O 8-ej wieczorem komitet w całym komplecie, z wice-burmistrzem, dr. Władczyńskim, na czele, wyszedł na przyjęcie pociągu lwowskiego, którym przybył zarząd Towarzystwa, z prezesem, Z. Sawczyńskim, i wiceprezesem Dr. T. Gerstmanem. Obadwaj, jak wiadomo, są członkami Wysokiej Rady Szkolnej, a p. Sawczyński został przez miasto Przemysł właśnie wybrany na posła do Wiednia.

Przyjęcie na dworcu odbyło się poważnie, bez przesadnych ostentacji i dekoracji, bez pomocy kapeli, salw moździerzowych, łuków tryumfalnych i innych nadzwyczajności, jakie się nieraz przy takich zjazdach działy; komitet miejscowy nie „wysadził“ ze swego łona kommisji dekoracyjnej; natomiast doroczną uroczystość wianków, bardzo starannie zazwyczaj obchodzona w Przemysłu, odłożoną została do czasu zjazdu. Czyniono przez cały dzień duże przygotowania, obijano deskami i dekorowano parkan, poza którym przysposobiono siedzenia dla płatnej publiczności. Czarne chmury, przesuwające się po horyzoncie, utrzymywały wszystkich w przykrych niepewności. Około 9-ej wybór publiczności i miejscowej pedagogicy zajęli mimo grożącą burzę przygotowane miejsca; most kały, brzegi Sanu, nadbrzeżne domy, a nawet dachy i parkany zaległy ludem przemyski, liczący się na 20,000; z większej części tego ludku, bo z 12,000, nieumiejących czytać ani pisać, łatwo zrekrutować się mogły całe zastępy dachowych i parkanowych gapiów, między którymi zauważyliśmy szczególnie chmury wyrostków. Przy ciemnym mroku, pod grozą obok przechodzącej burzy, rozpoczęła się świetna, ruchoma iluminacja na Sanie: z oddali płynęło z wodą morze światła, gorejące różnymi kolorami, ślizgające się po falach, walczące z grubą ciemnością nocy. Dźwięki orkiestry, huki i błyski ogni sztucznych, wydobywające się z wnętrza tego morza, dopełniały niezwyklego obrazu, jakby wyjętego z jakiegoś fantastycznego poematu. Wrażenie spotęgowało się, skoro można już było odróżnić pojedyncze regaty, łodzie, galary. Damy zachwycaly się, patrząc na sobótkę na wodzie, t. j. na galary, na środku którego gorzał płomień, a obok niego hasały pary w powłóczystych, białych kostiumach. Żywo uwijała się symbolicznie uilluminowana łódź towarzystwa „Gwiazda“; pięknie bardzo przeświecały ognie bengalskie zza transparentu drukarni Piątkiewicza, opiewającego powitanie pedagogów. Gdy korowód przepłynął i światła pogasły, rozeszli się wszyscy z wielkim zadowoleniem, szukając między sobą takiego, kto zauważył właściwy moment uroczystości, t. j. puszczenia wianków. Po dniach paru dopiero zagadka się wyjaśniła dzięki miejscowej gazecie p. t. „Echo z nad Sanu“ (nawiasem mówiąc, czupurnej bardzo), która wyjaśniła, że burza, przeciągająca przez śródmieście właśnie w czasie samej uroczystości, opóźniła przygotowania, skutkiem czego wianki pływające puszczone na wodę po 11-ej, t. j. wtedy, gdy już nikogo nad wodą nie było.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGA WĘDKA.

Jednym z najbardziej wstrząsających faktów ostatnich dni, było samobójstwo człowieka w rozkwicie wieku i sił żywotnych, redaktora *Inżynierji i budownictwa* Stanisława Szafarkiewicza, o którego pomysłach, ruchliwej działalności, energicznych porывach w sprawie podniesienia dobrobytu ziemian i drobnego przemysłu w kraju pisaaliśmy niejednokrotnie na tem miejscu, oddając wspólnie z całą warszawską prasą hołd uznania człowiekowi, pracującemu z gorliwością dla interesów dobra publicznego.

Trafne pomysły, ale nieszczęśliwą rękę miał ten człowiek, a raczej w nieszczęśliwych warunkach urzeczywistniał swoje projekta, zawsze na szerszą skalę zakresłone, zawsze obywatelską dążnością nacechowane.

Skoro tylko osiedlił się, przed kilku laty w Warszawie, po ukończeniu Akademii technicznej w Berlinie, od razu zabrał się do pracy z głową pełną pomysłów, z sercem pełnem wiary, że musi celu dopiąć przy pomocy ogółu i przy wytrwałości, tak rzadkiej, niestety, w naszym charakterze.

Ogół, jak to u nas bywa, przyjmował projekta i odezwy Szafarkiewicza gołosłownem uznaniem ich praktyczności a jego dobrych chęci, ale pomocy nie dawał; chwalił, dziwił się, gotów był nawet do małej owacyjki dla czynnego inicjatora *pro publico bono*, tylko pozwolił mu szarpać się samemu, mocować z losem, zabiegać z tej i z tamtej strony nadaremnie i zawodnie na każdym kroku.

Po objęciu redakcyi *Inżynierji i budownictwa*, Szafarkiewicz starał się organem tym napozór specjalnym, zainteresować szersze koła inteligencji krajowej; każdą ważniejszą kwestyą techniczną lub przemysłową poruszał, rozwijał, rozbiarał, dając dowód i przykład gorącego zainteresowania się sprawami publicznymi.

On-to próbował pierwszy wydawać specjalne dla rzemieślników pisma peryodyczne, w których miał zamiar popularyzować wiadomości techniczne i podawać wzory robót, nauki, rady, wskazówki dla rękodzielnictwa postępowego; pochwalono zamiar, reklamowano wydawnictwo „Dodatku dla ślusarzy“, ale prenumerata po warsztatach szła bardzo wolno i opornie.

Nie było komu czytać, albo nie chciało się po prostu zajmować drukowaną bibułą i „Dodatek“ musiał upaść z braku poparcia.

Niezrażony tem, wydawca próbował w interesie drobnego przemysłu rozbudzić jakiś solidarniejszy ruch, próbował zebrać materiały własnym kosztem i zachodem o marnowanych i nie wykorzystanych bogactwach ziemi i natury w całym kraju, chciał gnuszącym kapitałom większym wskazać cel korzystniejszego obrotu w eksploatacyi surowych płodów, wydawał mapy lasów Królestwa, wydał wreszcie Mapę poglądową p. Wójcieckiej, która lata całe, pomimo nawoływania prasy, nie mogła znaleźć nakładu i na tem wszystkim zawodził się lub tracił; zajęty ciągle interesami obcemi o swoich myślał za mało.

Przyszło zatem do katastrofy, gorączka czynu, projektów, nieustannej działalności pchała go naprzód, a rzeczywistość stawiała jedną zaporę za drugą, aż go nareszcie zrozpaczonego z nóg zwała.

Nad wyraz przykre i smutne wrażenie w naszych zwłaszcza warunkach, zrobiła ta śmierć człowieka, zaledwie trzydziesto-kilko-letniego, szanowanego powszechnie, dążącego naprzód z wiarą odradzającą się, jak fenix po każdym zawodzie, mającego głębokie poczucie honoru i uczciwości.

To już nie sam oderwany fakt samobójstwa,

rozpowszechnionego zatrważająco w naszych czasach: to jeden z bardzo smutnych objawów chwili, której ofiarą padają ludzie usiłujący iść na czele.

Ostatnim czynem w obywatelskiej działalności Szafarkiewicza była odezwa do ziemian naszych, by w swoim własnym i w ekonomicznym interesie kraju wobec wzmagającej się konkurencji rolnictwa zagranicznego z naszym, starali się wynaleźć i otworzyć nowe źródła dochodu w drobnym przemyśle, którego eksploatacyą i rozwojem u nas tak mało się zajmowano.

Poraz drugi wzywał do nadsyłania pod adresem red. *Inżynierji* wszelkich danych, mogących rozjaśnić tę ważną kwestyą i dostarczyć wskazówek: gdzie, jak, z czego dałoby się pożytek odnieść na polu przemysłowem, czy-to w przerabianiu surowych płodów, czy w ich wydobywaniu z ziemi, pozostającej zawsze jeszcze dla nas tajemniczą księgą, na siedm pieczęci zamkniętą, czy też w rozwoju istniejących zarodków przemysłu ludowego.

Na pierwszą odezwę w tym rodzaju odpowiedziało zaledwie kilkudziesięciu z licznych tysięcy zapytanych; drukowane schemata użyto zapewne na zapalenie fajek, albo ścieranie rachunków preferansowych ze stolika.

Czy ten powtórny głos będzie skuteczniejszym — nie miał odwagi oczekiwać sam nawołujący.

Wydawnictwo *Inżynierji*, planów, projektów i zobowiązań względem ogółu objął w spuszczanie po zmarłym kolledze hr. Łubieński, współredaktor pisma i towarzyszy pracy nieboszczyka.

Kwestya powyżej wspomniana nie pozostanie tedy osieroconą bez opieki i dalszego poparcia.

Sprawa drobnego przemysłu u nas była z niezwykłą lekkomyślnością traktowana; na ostatniej wystawie krajowej mogliśmy się przekonać, ile zawiązków nowych gałęzi z puia ogólnego dobrobytu przy staranniejszej opiece mogłoby się jeszcze rozrosnąć.

Na nieszczęście pomiędzy wielu zakorzenionymi wadami, mamy wadę nieufności i niedowierzania temu, co swojskie. Często nieufność ta bywała, niestety, usprawiedliwioną, ale powoli przeszła w manię nawet wobec faktów, przekonujących o zmianie na lepsze.

Zagranica imponuje nam zawsze do tego stopnia, że ani się zmierzyc z nią osmielamy, ani się jej sprzeniewierzyć chcemy. Przecież to dzisiaj powszechnie znane fakta, że wyroby nasze miejscowe, mogące śmiało współzawodniczyć z zagranicznymi, mogą tylko pod obcą, cudzoziemską firmą liczyć na zbyt w handlu.

Zabawki dla dzieci wyrabiane w Warszawie, musiano opatrywać francuzkimi etykietami; sztuczne nasze kwiaty, wytrzymujące porównanie z produktem najpierwszych zakładów zagranicznych, dostają się i rozchodzą ze sklepów pod paryżką firmą.

Kupcy robią te niezaszczytne ustępstwa dla urojeń i przesądów swoich odbiorców, w których oczach najwspanialszy okaz miejscowego wyrobu stałby się odrazu podejrzanym, gdyby nie oszukiwał podrabianym pozorem cudzoziemszczyzny.

Brak pomysowości i niezaradność stanowią również dwa szkopy, o które rozbijają się a przynajmniej potykają sprawy przemysłu naszego. Weźmy choćby taki drobny fakt dla przykładu: mamy w Warszawie liczne fabryki kapeluszy słomkowych, szytych na miejscu, ale plecionkę do nich sprowadzamy z zagranicy, jak-gdyby tego nie dało się również na miejscu uskutecznić.

Mnóstwo innych przykładów w tym samym rodzaju dałoby się przytoczyć z tajemnic naszego handlu i przemysłu.

Dziwna rzecz, że dobrego nie umiemy naśladować według obcych wzorów, ale w złem przesćigamy zagranicę: na fabrykacyą cienkich plecionek do kapeluszy zdobyć się nie możemy, ale na całą potajemną fabrykę fałszowanej herbaty starczy nam i sprytu, i pomysłu, i kapitału.

Wiadomo, jakie znaczne fundusze corok pochłania zagranica za nasiona ogrodnicze i pastewne; z południowych gubernii cesarstwa znakomity odbywa się wywóz nasienia dyni, arbuzów i ogórków; składnicy warszawscy, mogąc je mieć z pierwszej ręki i krótszą drogą, wolą je przecież sprowadzać od hodowców zagranicznych.

Kolonia nasion pod zarządem i opieką redakcyi „Ogrodnika Polskiego“ powstająca w Rakowcu musi walczyć także z tą, nie potrzebną wcale, konkurencją obczyzną. Na przyszłej wystawie ogrodniczej w początku Września zobaczyć mamy rezultaty tej kolonialnej pracy, którą nasi młodzi i energiczni kultywatorzy prowadzą od lat kilku z rosnącym powodzeniem, jednak jeszcze nie z takim, na jakie zasługują.

Wystawa podobno zapowiada się bardzo obiecująco i jeżeli tylko pogoda sprzyjać będzie, popis Flory i Pomony wypaść może świetnie.

Na jesień zapowiada się nowa faza wystawomani, która w początku wiosny wytworzyła tyle projektów bezowocnych.

Oto na korzyść Towarzystwa Dobroczynności ma być urządzona wystawa sztuki dekoracyjnej; w Paryżu miała ona wielkie powodzenie, ale u nas po ostatniej, a tak niedawnej, wystawie na Placu Ujazdowskim, budzą się pewne wątpliwości: czy projekt ten okaże się praktycznym, choćby ze względu na kosztą samych wystawców nie bardzo pochopnych do nowych a znacznych wydatków.

Nie ulega wątpliwości atoli, że wystawa tego rodzaju mogłaby być zajmującą, gromadząc wszystko, co się budowy, urządzeniu, ozdoby i umeblowania domów tycze, rozumie się, że tylko na wielką skalę należałoby ją przedsięwziąć, bo w małych rozmiarach należytego nie może mieć charakteru.

Ktoś inny nosi się *incognito* z projektem urządzenia wystawy fotograficznej, litograficznej i heliominiaturowej. Co do pierwszej mamy ją we wszystkich gablotkach, porozwieszanych po placach publicznych i ulicach, druga zaś nie ma się tak bardzo czem popisywać u nas, a heliominiatury przestają być nowością zajmującą, odkąd namnożyło się u nas wielu partaczy w tym zawodzie.

Lepiejby zareklamować się powinna nowo powstała w Warszawie „Spółka polskich portrecistów“, która postanowiła wyrugować od nas fabrykaty obcego pędzla, wykonywane na obstalunek, bez pozowania oryginału, a li tylko według fotogramu i rysopisu osoby.

W ostatnich czasach Niemcy robili u nas dobre interesa na takim eksporcie sztuki, założyli nawet skład obrazów i licytowali w nim produkcję pędzla ze szkodą naszych miejscowych artystów, którzy sławą żyć muszą, a do zakąszenia jej słodczy kawałek chleba najczęściej nie mają.

Spółka portrecistów, jeżeli nie zechce lekceważyć artystycznych względów i ceny zastosuje do naszych warunków, może liczyć na powodzenie, bo któżby nie chciał tanim kosztem zdobyć się na swój konterfekt, stanowiący i pamiątkę dla rodziny i... piękną ozdobę ściany w salonie.

Z południa straszą nas jeszcze wieści o cholery, która z Hiszpanii przywędrowała do Francji, a że to widmo wdziewa czasami siedmiomilowe buty, gdy chce się dostać z jednego krańca Europy na drugi, więc niebezpieczeństwo jej odwiezdzin zawsze jeszcze nam zagraża.

Lekarze nasi podobno porozumiewali się z Dr. Ferranem, wynalazcą sposobu ochronnego szczepienia cholery i otrzymali od niego odpowiedź na pytania w tej kwestyi, ale poprzestać muszą na teoretycznych wskazówkach, gdyż do doswiadczeń brak im jak dotąd — Bogu dzięki, baccillów cholerycznych.

Dr. Ferran zresztą jest bardzo problematyczną powagą i jego wynalazek wielce podejrzanym według tego, co francuzcy lekarze o nim wyrzekli; sprawa w każdym razie pozostaje w zmroku i półcieniach. Zanim ochronne szczepienie

chronić nas zacznie od epidemii, pilnujmy się sami i jak najdłużej trzymajmy się od niej zdaleka.

Jesienne chłody przeciągają powietrzem; wieczory i ranki zimne, jakgdyby to nie lato było na ziemi; zaziębienia i owoców niedojrzałych wystrzegać się należy, bo o wypadki choleryny i o popłoch nietrudno.

Z końcem lata Warszawa zaczyna się ożywiać; dotychczas nie wiele znać tego ożywienia. Pierwsze na bruku zjawiają się mundurki studenckie, zapowiadające koniec wakacji i nowy rok szkolny.

Jak zwykle, kandydatów do nauki moc wielka, a o miejsca na szkolnej ławie jednak trudno. Szkoły przepełnione; nowych nie przybywa; podobno mają być zaprowadzone ulgi dla uboższych uczniów w opłacie wpisowego, które będzie można składać w miesięcznych ratach.

Gdyby się wiadomość ta sprawdziła, wielu ówów odetchnęłoby swobodniej.

Na niektórych pensjach żeńskich znowu mają być zaprowadzone bardzo pożyteczne innowacje: oto nauka gymnastyki uważaną być ma za przedmiot obowiązkowy. Podniesie to zapewne kosztą edukacji, ale przynajmniej zapewni trochę zbawiennego ruchu dziewczętom i przyczyni się do fizycznego ich rozwoju.

Pensyonarki nasze najczęściej w ciasnych, dusznych i niewygodnych salach spędzać muszą 7—8 godzin dziennie, a wiadomo, że wtlejszy organizm kobiecy łatwiej ulega wpływowi ujemnym; liczba chorych i słabowitych dziewcząt stosunkowo większa też wypadać musi od liczby chorowitych chłopców uczęszczających do szkół.

Dobrzeby było, aby tę gymnastykę zaprowadzono we wszystkich zakładach naukowych, jako przedmiot obowiązkowy, byle go tylko... teoretycznie wykładano.

Nauka i tak dość drogo kosztuje.

NIGDZIE MU DOBRZE NIE BYŁO.

OBRAZEK Z ŻYCIA

skreślił Quis.

(Do kończenia).

Im więcej czytywałem się w spowiedź Janka, tem większe współczucie budziło się dla niego w mem sercu.

Zdawało mi się, że to nie martwe litery z pomiętych kart rękopisu przemawiają do mnie, ale że słyszę jego przyciszony głos, szepczący gdzieś tuż blisko, że w cieniach pokoju na fotelu pod oknem widzę jego postać z tą smutną, bladą twarzą, z głową podpartą, jak zwyczajnie, na rękę; że jeśli nie on sam, to duch jego spłynął na pierwszą poufną z przyjacielem rozmowę pozagrobową.

Po zerwaniu z kobietą kochaną, która tej miłości pasmo sama przerwała nagle, gwałtownie, z kaprysu, czy z wyrachowania, Janek odsunął się od świata; przyjął gdzieś w zapadłych kątach Bośni lichą posadę i zrobił, co mógł najgorszego.

Samotność bywa zgubną dla pewnych natur w chwilach takiego wstrząśnienia.

Zdawało mu się, że tam zdaleka od świata, znajdzie ukojenie, że tylko z własnymi myślami żyjąc, wróci do spokoju i równowagi, ale zapóźno przyszedł do przekonania, iż myśli „niezawsze bywają dobrem towarzystwem, że często stają się rakiem duszy, którą stoczą i przegryzą naskrosz.“

Teraz rozumiałem ten gorzki smutek, z jakim mi to sam przed śmiercią swoją powiedział.

Sądził, że płomień, który w piersiach jego wybuchnął, stłumiony siłą woli i rezygnacji wygasnie; ale stało się inaczej: płomień przygasł, ale pozostały z niego iskry, co tliły się w zamkniętym sercu i spopielały powoli to wewnętrzne życie samotnika tak boleśnie zawiedzionego.

Oto, jak w pierwszych tygodniach pobytu swego na pustkowiu malował stan swojej duszy w liście do tej, co „była jego piekłem w raju i rajem w piekle:

„Zawiodłem się na sobie; nie umiem być lekarzem chorego serca. Gorzej mi tu, niż nawet przy tobie, ale już chyba nigdzie dobrze być nie może i nie będzie, bo złe moje wszędzie za mną przyjdzie i wszędzie dokuczać zacznie.

Wszystko jeszcze jakby się sprzysięgło na mnie, jak gdyby z tobą w przymierzu gnębić mnie chciało bezustannie.

Od pierwszego dnia przyjazdu do tej puszczy, ślota i ślota, deszcze leją i mgły wilgotne snują się po ziemi; jak widma jakieś straszne i groźne wychodzą co rano i co wieczór z tych lasów, które mnie otaczają tutaj, szarpią swoje całuny po gałęziach drzew i wieszając na nich szare lachmany, zdają się płynąć wszystkie na tę zapadłą, ciemną i brudną lepiankę, co jest obecnie więzieniem mego ciała i ducha.

Całymi dniami siedzę tak przy otwartym oknie i słucham, jak na dworze deszcz chlupie jednostajnie, albo wiatr wyje głosem głodnego szakala, patrzę na fantastyczne korowody mgieł nad wieczorem i rozmyślam o tem, co tak niedawno było, a co wieki całe trwać się zdawało...

Gospodarz mój, więcej do niedźwiedzia, niż do człowieka podobny, z twarzą dziką, zbójceją, spogląda na mnie z podelbą i dziwi się zapewne w duszy, że mi ani jego kozie mleko, ani mamalyga, ani szaszłyki z baraniny nie smakują, i że te przysmaki mój pies codziennie za mnie polyka.

Nie wiem, czy w ciągu kilku tygodni dziesięć słów zamieniliśmy z sobą.

O czem moglibyśmy rozmawiać!

On ciebie nigdy nie znał i nie widział, nawet nie wie o twojem istnieniu, a ja cię ciągle mam przed oczyma i ciągle tysiącem pytań: „czemu?“... zaklinam; ale cień twój milczy, uśmiecha się tylko tym złym uśmiechem, który na twoich ustach miał jakiś szatański wyraz szyderstwa.

Po co mi się tu zjawiasz, teraz właśnie, kiedy chciałbym oślepić duszę, aby cię nigdy nie widziała więcej!.. a czem bardziej wydzieram twój obraz z mej pamięci, tem silniej go w niej utrwalam.

Chciałbym pamiętać cię tylko złą, bezlitosną, okrutną, aby przesycić się goryczą wspomnień o tobie; pragnę oskarżać cię przed sobą samym i wyrokiem potępienia ulżyć nareszcie sercu: a ty zjawiasz mi się wtedy, jakby na przekór inną: jasną, świetlaną, dobrą, z wszystkimi pokusami dla oczu, spragnionych twego widoku, dla ust drżących do twego pocałunku, dla serca tęskniącego za tem, com widział najczystsze w tobie.

I wtedy ten ponury bór ciemny przeistacza mi się w jakiś gaj palmowy, pełen egzotycznych kwiatów, te szare mgły w opalowe obłoki, te kropliste sznury deszczu w siatkę pereł, brylantów i drogich kamieni, a twoja postać wdzięczna, uśmiechnięta rozkosznie, wypiękniata niebiańskim urokiem przepływa na tem tle, jak bóstwo w blaskach, i nęci mnie do siebie.

Wyciągam wtedy ramiona i wołam:

— Zaczekaj, pójdz, jam smutny i żalony, jam nieszczęśliwy i biedny, tęsknię za tobą, pragnę cię, umieram bez ciebie!..

Głos ginie w puszcze, widzenie się rozwiewa, marzenie znika, a tylko rzeczywistość straszna pozostaje i jeszcze ciemniej w oczach, jak po nagłym światła zgaśnięciu, i tylko ciężiej w duszy, jak po wielkiej stracie.

Dziwna sprzeczność w naturze ludzkiej!.. czuję przecież, że gdyby sen stał się jawą, gdybym cię znowu miał przy sobie, nie prócz goryczy i bólu, prócz żalu i wyrzutów, prócz wściekłości i rozpacz, nie zostałoby we mnie, i szarpałbym cię,

jak zraniony lew, który oszalał jedną upartą myślą o—twojej zdradzie.“

Kiedy niebo się wypogadzało, Janek siadał na konia i godziny całe spędzał na wycieczkach po okolicy; błądził po lasach i polach, po zapadłych drogach i wertepach, myślał, „że kiedy kark skręci, przesadzając rowy i przepaście, zwalone kłody i strumyki.“

Karku nie skręcił, ale wśród deszczu i wiatru wracając późną nocą kiedyś do domu, zaziębił się i nabawił choroby, od której nie go już wyzwolić nie miało.

Prawie z radością zapisywał fakt pierwszego krwotoku.

„Zaczyna mi się rozpadać grób mojej duszy — mówił — tem lepiej, prędzej się skończą te męczarnie.

Jestem dziś, jak żywcem pochowany wśród tego cmentarza, który ludzie światem zowią.

Mam teraz inny przecież przedmiot zajęcia; nie same jedne pijawki wspomnień ssą mnie przynajmniej. Fizyczne cierpienia sprawiają mi ulgę. Jak to przyjemnie czuć, że się gaśnie cielesnie, gdy dusza żarem się przepala

Lekarz mój zdziwił się, że jego poważna mina i pogroźki śmierci rozpogodziły mi twarz uśmiechem; pocziwiec nie wiedział, jaką dobrą wiadomość obwieścił swemu pacjentowi.”

Nastąpiła widocznie długa przerwa w zapiskach Janka; choroba zabrała mu dużo czasu i zdawało się, że spowodowała jakiś przewrót w jego umyśle słowem życia.

Spokojniej zanotował krótko i bez komentarzy wyjazd z Bośni:

„Kazali mi ztąd wyjechać; wracam do świata, ale po co?...”

Wkrótce potem spotkał się ze mną.

Była to już wtedy spekana ruina człowieka, który niczego nie pragnął, niczego się nie spodziewał, do niczego nie dążył.

Instynkt zachowawczy tej bogatej, obfitej, pełnej sił żywotnych natury walczył jeszcze z jadem zniszczenia, który życie zapuściło w organizm duchowy Janka. Ciało bronilo się jeszcze przeciw skołataniem duchowi, który z rezygnacją dążył do końca, do wyzwolenia. „Życie moje złamanej szpilki już nie warto“, — mówił do mnie wówczas nad jeziorem w Konopnicy i mówił z przekonania.

Czuł się niepotrzebnym więcej dla nikogo, najmniej dla siebie na ziemi, zbyt cennym wśród innych ludzi, co mieli jakikolwiek cel przed sobą: on do żadnego ani sił, ani chęci nie czuł więcej. Złamany fizycznie i moralnie, przepalony wewnątrz, z zardzewiałą jakąś duszą, z samowiedzą o tem spustoszeniu, które nosił w sobie — wędrował już tylko.

„Jeśli mam jeszcze jaki żal do pani — pisał już między innymi w swej cichej Konopnicy, gdzie mogło mu być jak u Pana Boga za piecem według wyrażenia starego Pawła — to nie o to, co straciłem w przeszłości, ale o te straty, jakie mi przyszłość z każdym nowym dniem przynosi.

Nie boli mnie już to, że cię kochał i w tej miłości wszystko utopił, ale że więcej kochać nie potrafił żadnej innej kobiety, nic i nikogo. Pustka w duszy mężczyzny jest najstraszniejszą ruiną, zwłaszcza, gdy jej życie niczem wypełnić nie zdoła. Całą mą wiarę, wszystkie szlachetne illuzje, wszystkie gorące porywy poświęciłem pani jednej i gdyby mi los był pozwolił, a tyś nie przeszkodziła być szczęśliwym w życiu... ale po co mówić o tem, co być nie mogło i już więcej nie będzie!

Dziś czuję, że miłość moja była złą, bo tak bardzo kobiety kochać nie należy; w jednym uczuciu dla niej nie powinien się mężczyzna zasklepić cały, zwłaszcza gdy nie ma siły wyrwać się z niego w danym razie.

A przecież nad miłość niema w życiu nic szczytniejszego i ta wieczna serc dręczycielka jest jednak szafarką największych łask i rozkoszy; ale tylko uczciwej i prawej kobiety miłość potrafi uszczęśliwiać prawdziwie...”

Znalazł się dalej i ustęp odnośny do Tyni:

„Los wyprawia dziwne igraszki z ludźmi, a sprawiedliwy Bóg na to pozwala, jakby dla kary, albo wypróbowania naszego serca... W tym za-

kątku, gdzie miał dogasać powoli, znalazło się dziewczę, które szczęście daćby mogło każdemu, co byłby tego godnym. Powiedziały mi jej czyste anielskie oczy, że chciałyby mnie tym skarbem obdarzyć... Czy to nie największa ironia, na jaką los zdobyć się może!...

Po tobie — ona?... ależ aniołem gdyby była, choć nie wiele jej do tego braknie, nie umiałbym jej pokochać. Czem?... tym zużłem wypalonego serca, tą wyobraźnią, w której płoną jeszcze twej miłości wspomnienia, temi nerwami, które cierpienia wyprężyły?... Jam już instrument bez głosu, przedęty, pęknięty, za silnie grało na nim życie i ty.

Co ja bym dać potrafił temu dziewczęciu niewinnemu, czystemu, uroczemu, jak marzenie, które dopiero otwiera swoje duże habrowe oczy na świat i życie?... ja, który wszystko straciłem już i zmarnowałem w sobie!

Popiołem płacić za brylanty uczuć — to niego dnie.

Ale nawet oszukać — bym jej nie mógł, bo i do tego brak mi sił i ochoty.

Uciekam od tej różowej zmory, która stanęła tak niepotrzebnie na mojej drodze, aby mi tem cięższemu uczynić życie.

A jednak jest w niej coś, co mi przypomina niekiedy ciebie, i gdybym mógł ukryty słuchać jej głosu, albo patrzeć na nią niewidziany ukradkiem, słuchałbym i patrzył, choćby ta rozkosz nowy ból mi sprawiała i stare blizny drażniła.

Tylko cóż za różnica między nią a tobą!...

Pamiętasz tę smutną dumkę, ulubioną przez nas oboje, którąś mi nuciła wieczorami?... grywam ją jeszcze i teraz dla siebie i powtarzam w mojej samotności, jak pacierz za umarłą przeszłość.

Dziewczę ją podsłuchało i teraz wieczorami wiatr mi przynosi niekiedy odgłosy fortepianu, na którym ta mała wygrywa naszą piosnkę, nie domyślając się nawet, ile mi tem bólu sprawia.

Tyś ją grała tak inaczej, inaczej!...

To dziecko nawet instynktownie nie zna jeszcze życia; śliczny bławatek w zbożu, skromny, świeży, pełen prostoty — ale nie dla mnie już, niestety.

Uchodzę teraz wśród ludzi za dziwaka, oryginała, malkontenta; co oni wiedzą o mnie!... nawet mój pocziwy stary sługa zrzędzi na mnie po kątach — a ja tylko ze skrzydeł obdarty ptak, który kona.

W tym rodzaju kilka jeszcze znajdowało się ustępów, smutkiem przepojonych; czem bliżej końca, tem krótsze były już wynurzenia Janka, oderwane jakieś zdania i reflexy, luźne myśli jak paciorki z rozsypanego różańca, niedokończone frazesy, jak porozrzucane okruchy.

Ostatnią kartę rozpoczynały słowa:

„Jaka wielka to prawda, że można przebaczyć, ale nie można zapomnieć!...

Nie mam już żalu do ciebie; cóżes ty winna, żeś kochać przestała, a kłamać nie chciałaś. Tyle kobiet nawet tej uczciwości nie posiada. Bóg z tobą!...”

Dobrze już było po północy, kiedy jeszcze siedziałem nad pamiętnikiem Janka i przerzucałem po raz drugi i trzeci niektóre karty. Pod wrażeniem tej pośmiertnej spowiedzi miałem prawie ciągle na myśli nieboszczyka; kilka nocy z rzędu śnił mi się, zawsze smutny, zgorzkniały, przychodził do mnie we śnie i powtarzał: „I ty źle, i tam źle, nigdzie dobrze!...”

Wybrałem się jakiegoś niedzieli na cmentarz, aby odwiedzić grób Janka; grabarz, otwierając żelazne drzwiczki, rzekł:

— Tu panie złe miejsce dla nieboszczyka.

— Dlaczego? — zapytałem tknięty temi słowami.

— Zacieka spodem, wilgoć, ot widzi pan, jakie plamy na ścianach.

— Cóż zrobić na to?

— Ha, trzeba wyasfaltować, to będzie zaraz lepiej.

Usłuchałem rady grabarza: niech biedakowi chociaż w grobie nie dokucza.

VII.

Zdawało mi się, że już nigdy w życiu nie poznam tej znajomej nieznajomej, na którą poza grobem skarżył mi się tak nieszczęsny Janek, która zatruliła mu ostatnie lata życia i zamieniła je w powolne samobójstwo; sądziłem, że ona pozostanie już dla mnie zagadką nazawsze.

A jednak wcześniej, niż się spodziewać mogłem, los sprowadził nas z sobą, jakgdyby pragnął sam zaokrąglić tę powieść o człowieku, „któremu nigdzie dobrze nie było.“

Autorom takie epilogi bierze się za złe najczęściej i zakończenie nazywa naciąganiem, ale życie, ten najgenialniejszy autor, nie troszczy się o krytykę i tworzy, jak mu się tylko podoba.

W kilka tygodni tedy po śmierci Kileckiego wybrałem się do Lwowa; było to w połowie wielkiego postu, w porze rautów i spokojnych reunio-

nów. Starzy moi znajomi i przyjaciele zajęli się tem gorliwie, abym wieczora żadnego nie stracił i nie zmarnował ani chwili pobytu.

Znalazłem się w ten sposób w domu państwa X. na dużym zebraniu, które odznaczało się zbiorowiskiem wszystkiego, czem tamtejszy *beau monde* mógł się pochwalić.

Ktoś tam grał, ktoś inny śpiewał, panna jakaś deklamowała, potem towarzystwo rozbiło się na grupy i zabawa weszła w najprzyjemniejszą fazę pogawędki na uboczu, na prawach wolnego doboru.

Jako gość zdaleka przybyły, miałem pewne przywileje towarzyskie, na mocy których obok gospodyni domu, znalazłem się w kółku najściślejsem, zajmującym jej budoar, pełny śmiechów, szepcików, ożywionej rozmowy i tej atmosfery dobrego humoru, która zbliża serca i umysły.

Głównem ogniskiem w tym saloniku była grupa mężczyzn, otaczająca kobietę młodą, ze smakiem, choć z pewną excentrycznością ubraną, rozmawiającą z wielką wprawą jakąś mieszaniną języków salonowych, odcinającą się zarówno na francuskie *bon-mot*, jak na angielskie cytaty i wiersze Heinego.

Poznać po całym jej zachowaniu było, że stanowiła tu najjaśniejszą gwiazdę w towarzyskiej konstellacji; świeciła jak słońce i utrzymywała szeroki kult gwebrow około siebie.

Śmiech, gwar, wybuchał co chwila, z jej otoczenia; prowadząc ogólną rozmowę ze wszystkimi napozór, piękna pani zdawała się z każdym z osobna rozmawiać i każdego ze swoich wielbicieli trzymać na osobnej wędecku.

Obok siedzieliśmy z gospodynią domu, nie biorąc udziału w rozmowie tej interessującej grupy.

— Pan się u nas źle bawi, jak widzę — mówiła moja towarzysza.

— Przeciwnie pani, bawię się, o ile mi na najlepszy humor starczy.

— Jakoś nie widać go wiele w panu.

— Być może, ale w ostatnich czasach byłem pod bardzo przykrem wrażeniem, pochowałem przyjaciela — i po chwili wymknęło mi się z ust nazwisko Kileckiego.

— Janko, pan Kilecki umarł? — zapytała nagle z niezwykle zajęciem, spoglądając na mnie z niedowierzaniem, jakby to było coś niemożliwego, a zwróciwszy się do pięknej pani, otoczonej całą gwardią wielbicieli zawołała:

— Słyszysz, Sylwio, Kilecki umarł!

Sylwią trzymał właśnie za rękę jakiś siwy jegomość z bokobradami, który miał minę starego dworaka dyplomaty, i opowiadał jej z uśmiechem pofrancuzku jakąś wielce zajmującą anegdotkę; na chwilę gwar ustał, pani spojrzała przez ramię roztargniona i spytała:

— Kto taki?

— No, Kilecki, twój Janek, który się przecież kochał w tobie tak szalenie przed kilku laty!...

Słowa te podniosły mnie prawie z krzesła; spojrziałem teraz z większą uwagą w twarz Sylwii. Nawet uśmiech z niej nie zniknął; zimno, obojętnie, jakby na popis dla swojego audytorium, spytała głosem, który dreszczem mnie przejął:

— To on dopiero teraz umarł?...

PRZEGLĄD TEATRALNY.

L.

Wyprawy kąpielowe po...., komedia w 3 aktach, oryginalnie napisana przez Zygmunta Przybylskiego. — **Lis w kurniku**, komedia w 5 aktach, oryginalnie napisana przez Kazimierza Zalewskiego.

PP. Zbrojniccy z córką i p. Szławska z dwiema córkami i jednym kuzynkiem—zrobili do Krynicy wyprawę po mężów; p. Przybylski znowu zrobił do tutejszego teatrzyku w Bellevue wyprawę—po sławę. Pomagał mu w tem p. Stanisław Koźmian mniejszy, jedna z powag publicznych p. wnego stronnictwa w Galicyi, przytem powaga teatralna wszelkich już stronnictw. Przyjechał on umyślnie do Warszawy, aby nowonarodzonego dzieciciu Talii krakowskiej być ojcem chrzestnym. — Dalej, „Z grzeczności dla autora”—jak objaśniał usłużny afisz — p. Solski artysta teatru krakowskiego, nie wahał się w nowej sztuce odegrać jednej z ról pozycyjnych. O *Wyprawach* codzienniki umiały zawsze coś donieść, podczas gdy je przyprowadzano dla publiczności; roztrząsały nawet tę arcyważną dla przyszłych historyków teatru naszego kwestyę: czy już naprawdę, kiedy i na jak długo przyjechał p. Koźmian? Zaszczęty to dla sztuki i poczynającego autora *Gatunki jaśminu* w każdym razie wielki, że taki mistrz reżyssery oddał mistrzostwo swoje na usługi maluczkich; ale pożytek z tych usług wcale zagadkowy. Komedia p. Przybylskiego nie stała się przez to lepszą, że ją z takim rozgłosem i z takim poświęceniem wprowadzano na scenę, która prawdziwie wtedy dopiero jest w swoim żywiole, kiedy zagra operetkę.

Z wyprawami po mężów łączy się i wyprawa po żonę, podjęta przez p. Bibińskiego, który nie spodziewanie spotyka w Krynicy dawną swą narzeczoną Helenę. Ponieważ niegdyś ją porzucił teraz więc beczelnie chce być nowym zupełnie człowiekiem. Helena jest postacią tragiczną. Ponad wszystkich sowizdrzałów wznosi się jeden poważniejszy młodzieniec, niezupełnie już młody. Władysław. Ten zostaje przyjacielem, a z przyjaciela narzeczoną. Helena sama mu się narzuca i kiedy w końcu komedii wszyscy do wódzcy i dowódczyni wypraw wracają do siebie z nosami na kwintę, dwoje tych ludzi bezinteresownych, którzy się po nic nie wyprawiali, znajduje złote runo wspólnego szczęścia. Taki jest zrab przygód sztuki. Komiczność jej zawiera się w postaciach góralek, pijanego Zbrojnickiego, starego kawalera Teodora, Szławskiej z córkami i kuzynka Jasia, ucznia gimnazjalnego, który wcale dobrze już zdaje examen z nauk i umiejętności stosowanych do życia. Komizm ten nie zawsze rodzi się z humoru: owszem, wyskakuje często z nakręconej sytuacji, a posilkuje się konceptem: ale nie można nie przyznać, że jest; tylko dialog komiczny silnie domaga się dezinfekcji: na scenie poważnej wobec przyzwoitej publiczności wiele dowcipów i zwrotów, czy-to pijanego Zbrojnickiego, czy ordynaryjnej Szławskiej, trąciłoby karczmą. Najlepiej pisane są te sceny, do których wchodzi góralek; autor podpatrzył tu naturę, podsłuchiwał mowę, zajrzał do naiwnych umysłów, i stworzył parę miłych obrazków; atoli i te obrazki toną w mgłę architektoniki, która nie miała przed sobą jasnego założenia. Niezdarnem jest dopasowanie minorowo nastrojonej Heleny do całej gawiedzi kąpielowej; a przerwienie się jej do Władysława w akcie III, w zasadzie psychologicznej prawdziwie, jest *in concreto* estetycznie fałszywem. Cały ten akt III z wdzierającym się na scenę sowizdrzalstwem i ciotką chorującą za sceną, dziwnie wygląda; czuć w nim grubą, ciesielską, kamieniarską robotę. Podobno już autor, usłuchawszy rad krytyki, ten akt przerabiał. Trudny kunszt przeplatania scen zbiorowych momentami indywidualnymi, komizmu—poważną dramatycznością, wypowiedział p. Przybylskiemu posłuszeństwo. Lepiej się było wcale nie porywać.

O talencie, o jego nateżeniu i kierunku nowo napisana sztuka nie pozwala jeszcze wyrokować; ale gdyby nawet dziś zapadł wyrok nieprzychylny, wiele jeszcze czasu zostanie na apellacyą do przyszłości.

Lis w kurniku, p. Zalewskiego, jest nowym dowodem stwierdzającym dawne już spostrzeżenie, iż ten pisarz dramatyczny więcej się uganiania za sytuacyami, niż za charakterami, a rozzumnie budować sztuk swoich nie chce, czy też nie umie. Tytuł sam pokazuje sztukę, jaką ona być miała w zamysłach autorskich. Szczęśliwy niepoń dostaje się do miasta prowincjonalnego, które ma mnóstwo własnych i okolicznych córek do zbicia. Ponieważ ten p. Kroński, przybyły z Warszawy, posiada miłą powierzchowność, może więc wybierać jak lis w kurniku. Na tem zarysowaniu stosunku wszystko się kończy; ciekawe momenta psychologiczne, jakie wywiązać się musiały z takiego założenia, autor zostawił dla siebie; widziwi daje tylko satyrę pychy i okłamywania się wzajemnego; sadza kolejno na cenzurowanem różnej wielkości miejskie i podmiejskie, najmniej właśnie przytem dbając o lisa i kwoczki. Małości życia prowincjonalnego, zresztą dość już znane z książek powieściowych i ze sceny, indywidualizowane są słabo. Inaczejby to zrobił Bałucki, inaczej wyzyskałby wiekiutego preferansu, ustawiczny klekot zawiści, drobnostkowość i płytkość. — skutki jałowości życia, braku jego dźwigni, ograniczenia dążeń, upośledzonej oświaty. P. Zalewski wprowadził tu wiele figur, ale w nich mało oryginalności. Jest tu aptekarz perswadujący uczniowi swemu, że najlepiej zawsze niedowadzać, bo się wtedy nikogo nie zabije; jest inżynier z czwartej klasy, i jakiś urzędniczy zapewne z trzeciej; jest flecista, czysto już dla paradyżu; jest lekarz, od lat wielu praktykujący, uczciwy, prawy, ale z zawiścią patrzący na młodszego kolegę; jest obywatelka wiejska, której dobra ciągną się na kilka mil, a na tyleż mil ciągną się i długi jej w księdze hipotecznej; jest syn aptekarza, puszczający ojcu finfy pod nos; jest tradycyjna talia kart zawsze w pogotowiu, i język nieustający w obmowie. Kawaleryą miejską przedstawiają owi dwaj wysoce naukowo wykwalifikowani, ludzie już nie pierwszej młodości. Oni to, pałając zawiścią ku lisowi, wspólnie z aptekarzem w miejsce ledwo co zarysowanego tematu lisa w kurniku, podstawiają temat potwarzy chwytającej się bezimiennych listów. Aptekarz jest tu głównym sprawcą, jakgdyby był głównie interesowanym. Dziwna rzecz, iż do wykurzenia lisa nie znalazł się nikt młodszy i odpowiedniejszy. Ten tryumwirat w sztuce p. Zalewskiego jest tak lichym, tak mizernym, że nie mógł dostarczyć tworzywa dla dramatyczności. Ofiarą anonimowi pada Henryka niegdyś kochana przez Krońskiego, kiedy była już mężatką, żoną Regenta Olszyckiego. W Krońskim uczucie dawno już było zastygłe; przyjeżdża on do miasta prowincjonalnego na to tylko, aby — się ożenić. Staje w domu regenta, swego kolegi, choć wie z kim się tam spotka, choć żaden, godziwy czy niegodziwy, interes nie nakazuje mu obierać sobie takiego stanowiska do polowania. Od III aktu wkracza do sztuki dramaturgia francuzka dzisiejsza: proces mężczyzny z kobietą, wytoczony przed Mentora komedii, który prawi morały P. p. Olszyccy nie mają dzieci; miasto małe nie daje dostatecznego zajęcia i zabawy; pan regent żałuje, że się ożenił z panią bez posagu: więc i pani regentowa powraca myślą do Krońskiego, i zadaje sobie pytanie: czy też on mnie kocha jeszcze? Kroński daje jej na to odpowiedź brutalną. Jednocześnie mąż odbiera aptekarzki anonim, rozrzucony nadto pomiędzy wszystkich znajomych: wpada i robi scenę. Teraz zaczyna się rola Mentora, Dra Młodnickiego. Doradzał on już w II akcie p. Olszyckiemu Karlsbad; ale p. Olszycki nie usłuchał i za to w III pokutuje: jest mężem zazdrosnym. Młodnicki, nie mając żadnych osobistych dążeń, bez trudu wzbija się nad całe otoczenie swoje. Jest on lepszym od Tuwenenów, Tolozanów i niezliczonych krewnych swoich we Francyi—przez to, że nie tylko gada, ale i działa. Pali najpierw kaganiec mężowi, raz i drugi, potem odkrywa sprawców

anonimu, wreszcie ratuje Henrykę, która, nie mogąc przeżyć hańby, zażywa truciznę. Szczęściem antidot, przybywa jeszcze w porę, a przytem trucizna, dzięki owej kardynalnej zasadzie aptekarstwa, nie była zbyt silną. Otrucie się żony nawraca do niej odrazu męża. Kończy się wszystko zawstyżeniem małomiejskiego motłochu, wyjazdem Krońskiego, i wzajemnem przebaczeniem sobie małżonków. Przychodzi ono tem snadniej, że od wiarołomstwa upłynęło już lat sześć, a uczucie Henryki było wówczas czysto idealnem. Z ideałami zawsze łatwiej sobie poradzić.

Sztuka zaczyna się odrazu, nie od tradycyjnej expozycji, ale od spotkania Henryki ze Stanisławem Krońskim; ale po tym dobrym początku zaraz przechodzi w malunek towarzysztwa małomiejskiego. Malowaniem tem zajmuje się autor aż do końca aktu II. Majówka cała w tym akcie urządzona jest facecyonalnie: od fajerwerków zapala się stóg siana, w którym flecista schował był ulubiony swój instrument: ztąd łatwy rozgardiasz i niewybredny komizm. W akcie III odgrywa się owa komedia francuzka; akt IV zgromadza całe towarzystwo u aptekarza, dając Młodnickiemu sposobność do wykrycia sprawców potwarzy, i przeciągnięcia motłochu na stronę uciśnionej sprawiedliwości. W akcie V wreszcie *spiritus rector* trzech ostatnich aktów sztuki wypędza Krońskiego, który umie delikatnie się wyslizgnąć, i rzuca zazdrosnego męża do nóg uratowanej już i na scenę *ad hoc* przyprowadzonej Henryki. Taką jest budowa, złożona z trzech różnorodnych części: z facecji, z poważnego dramatu i z satyry scenicznej, przeciążona masą osób na afiszu, a uboga w rzeczywiście ludzkie, poludzu żyjące postacie. Szkoda, że autor zamało jest twórcą, artystą, a zanadto pisarzem, literatem, że chciał za wiele i za wiele chwycił, że nie skończywszy jednego, sięgał już po drugie. Skutkiem tego w miejsce sztuki, która według pięknego pojęcia Trentowskiego, jak dziecię z łona matki, organicznie narodzić się powinna z umysłu autora, ostatecznie mamy przed sobą—łataninę, zlepek. Jak zawsze u p. Zalewskiego, którego komedye są więcej literackie, niż życiowe, dyalog jest powabny, potoczny, w niejednym miejscu dowcipny, język z drobnymi wyjątkami poprawny, dosadny, malowniczy. Perory lekarza w akcie III pod względem stylistycznym mogą się podobać; pod względem prawdy rozumowej, ma ten lekarz słusność, gdy wyrzuca mężowi oschłość i oziębłość w życiu małżeńskim, ale dosiada przytem zbyt wysokiego konia i przez to ze sledziennika robi przestępcę.

Jak pierwsza tak i druga sztuka poszukać sobie musiała teatrzyku ogródkowego. W roztrząsanie przyczyn wdawać się tu nie chcemy; stwierdzamy tylko fakt pierwszego przedstawienia *Lisa* w teatrzyku „Eldorado”. Samo to już uwalnia nas od oceniania gry artystów; ale dopuścilibyśmy się niesprawiedliwości, gdybyśmy nie przyznali Młodnickiemu (p. Antoniewski) pięknej postaci, przyjemnego głosu, śmiałej swobodnej gry, ruchów wogóle dobrych i—wyczerpania się roli. Taki Młodnicki nie przyniósłby ujmy Teatrowi Rozmaitości; takim niewątpliwym zdolnościom scenicznym dyrekcyja stałych naszych teatrów powinna dać debiut w komedii.

S. K.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 31 Lipca 1885 r.

Pustki paryzkie i pozorny spokój olbrzyma. — Co się dzieje w teatrach i księgarniach. — Choroba posagowa w Paryżu. — Beranger i Voltaire. — Oficjalne świątki, uszczuplenie programu wojskowego. — Kwestya wojska w Izbach, dziennikach i literaturze. — Jeszcze pozytywizm literacki w naszym stroju. — P. Bourget i jego „Okrutna Zagadka.” — Bardzo ciekawe zawiadomienie naukowe w Akademii Napisów. — Stela z Tejmy

(w Arabii) — i wykopaliska w Suzie (w Persyi). — Epilog. — Trzeci testament W. Hugo.

(Dokończenie).

Otóż książka, o której mówię, przedstawia ten szczególny fenomen, że autor, idąc dalej i głębiej, niż Zola i wszyscy Zoliści, w nienormalnym brudzie, napisał swą książkę kluczem starego, poprawnego eufemizmu francuskiego.

Rzecz tu chodzi o powieść p. Pawła Bourget'a, pod tytułem: *Okrutna Zagadka* (Cruelle énigme). Hubert jest to młodzieniec pełen życia, wykwiśniętości, pełen niewinności i wdzięku. Kocha się w pani de Saure, prześlicznej, dystyngowanej, czarującej, ale, niestety, zamężnej, — i jako płomień chwytając się płomieniem, jako dwóch lutni zbiegających się zgłoski! — tak się to dwoje istot spotyka, łączy i kocha na zabój! na wieki. Ale tu razem, bez powodu, bez widocznej przyczyny, p. de Saure pada w otwarte ramiona pierwszego lepszego wiercipięty, a jak się pokazuje, ten upadek szalony nie jest ani pierwszym, ani ostatnim. W tym brudnym ceberku leży właśnie zagadka, dlaczego? Dlatego, bo przyczyną tego jest: „newroza“. Ale, że nasz zakochany solista jest również pod wpływem newrozy: a więc, przeszedłszy czyszczyć wszelkich znanych i nieznanich mąk miłosnych, powraca do nóg ukochanej niewiernej.

Nie jest to obraz, ani budujący, ani ponętny, ale jak mówiłem, napisany kluczem eufemizmu paryskiego, gdzie się czytelnik wszystkiego domyśli, ale gdzie ani jeden wyraz nie wyjdzie ze stroju. *Okrutna Zagadka* zaczerpnięta jest z życia czysto paryskiego, z życia ludzi nowego pokładu, z życia, gdzie niema nic wybitnego, a gdzie wszystko jest mdłe, ciepłe, szare, wątpliwe i rozczarowane. Nie jest to życie, co pali, przyska i burzy, ale raczej podrzędny byt płazów, których subtelny instynkt ma czasem objawy, jakby najwykwintniejszego uczucia i potężnej myśli. Jeden z dowcipnych salonowców powiedział o tej „Zagadce“, że to jest: *de la Gomme, par la Gomme et pour la Gomme*. Jest to przynajmniej zich świata.

Dodajmy tu, że p. Paweł Bourget jest poetą, i do tego utalentowanym poetą. *Okrutna Zagadka* stanowi jego pierwsze dzieło napisane prozą. Widać w nim wielką staranność o formę i zwroty języka. Dramat, choć brzydki i stary i zużyty, ma pewne odbłyski, które mu wracają młodość i życie. Ale nie jest to książka, którąbym polecał moim zwykłym czytelnikom. Czytanie takich książek trzeba zostawić mężczyznom głupim — tyłu ich jest na świecie! — i kobietom takim, jak pani de Saure, albo ludziom, którzy z profesji muszą czytać wszystko — prawie wszystko. Miejmy nadzieję, że autor teraz, kiedy już został uklassyfikowanym i *dociagnął do kilku tysięcy*, nie pozostanie w tej szarej, mgie paryskich rynsztoków, ale da nam coś mniej zagadkowego, coś pełniejszego zdrowia i życia. Podsuwano także domysł, że jest w tej książce jakaś część autobiograficzna. Być może, ale chyba tylko jakieś dalekie, bardzo dalekie, odbłyski, a tak zamglone, że trudnoby w fikcyjnej postaci powieści dostrzedz samego autora.

W ciągu bieżącego miesiąca Lipca Instytut Francuski otrzymał bardzo ciekawe doniesienia dotyczące się archeologii. Pierwsze zaraz miejsce z porządku dajemy bardzo ważnemu odkryciu w dziedzinie epigrafiki wschodniej. Pomnik ten jest to tak zwana „Stela Tejmańska“; równie jak „Stela Moabicka“ króla Meszy, jest to pewien rodzaj dokumentu jurydyczno-religijnego, — akt przedugodnych punktów, którym, pewien cudzoziemiec, a przynajmniej człowiek obcy pokoleniu Tejmitów (w Arabii), zeznaje, że część, którą on oddaje swojemu szczególnemu bóstwu, powinna być uważana za hołd przyjemny Bogom Tejmitkim, pragnąc, aby te bóstwa swojej mu udzieliły opieki, za co zeznający ofiaruje pewną część dochodów, które przeznaczyl był na religijne obrzędy pokolenia Tejmitów (29 drzew palmowych), na rzecz nowego bożka.

P. Renan sądzi, że ten ciekawy pomnik starożytności może być odniesiony do V-go wieku przed Chrystusem. Napis uszkodzony wielce przez czas,

jest w języku aramejskim, t. j. starożytnym syryjskim, który był językiem panującym w owe czasy na całym półwyspie arabskim — Stela ta jest wykuta z twardego piaskowca, w formie podłużnego czworoboku, zaokrąglonego u wierzchu. Na jednym z wąskich jej boków, widać coś w rodzaju ołtarza i postać — kapłana, a może samego zapisodawcy — w stroju przypominającym Achemenidów perskich.

Historia zdobycia tej Steli jest bardzo ciekawa, a nawet dramatyczna.

Pan Karol Huber, jeden z uczonych Francuzów, młodszego pokolenia, inteligentny, gorący, żądzą naukową i prowadzony niezmierną ciekawością odkrycia nieznanych skarbów nauki, przedsięwziął podróż do Arabii — podróż, jak wiadomo bardzo trudną, bardzo uciążliwą i niebezpieczną dla tych, którzy się puszczają wewnątrz tak mało jeszcze znanego półwyspu.

P. Huber, według wymownej bardzo definicji samych Arabów — było to: „złote serce, ale głowa ognista“. Musiało to nadać jego podróży tem niebezpieczniejszy charakter. W okolicach Tejmy, kierując się wskazówkami samych Arabów, podróżnik odkrył poszukiwaną przez siebie stelę, ale, niestety! użyta za materiał budowlany, znajdowała się ona wmurowaną w ścianę domu jednego z tamtejszych mieszkańców. Zagorzały archeolog nie wahał się ani chwili: kupił dom cały na własność, rozwalił ścianę, a zdobywszy naukowy klejnot, kazał mur przebudować.

Wytrwałość i zapał młodego uczonego prze mogły wszystkie przeszkody. Dom naprawiony odprzedał Huber napowrót jakiemuś Tejmitcie, ma się rozumieć, ze stratą, i szczęśliwy z posiadania pomnika, który przeznaczał do Muzeum Luwru — puścił się w dalszą drogę!...

Ale cała ta sprawa narobiła niemało hałasu w Tejmie. Żywa i ruchliwa i imaginacja Arabów, uderzona temi wypadkami, dała wodze najdziwniejszym wymysłom. Rozumowano sobie tak, że skoro tylko ów zagorzały dziwak cudzoziemiec, przybył tam z końca świata, kupił dom jedynie dlatego, aby wydostać z niego ów kamień: musi więc ten przedmiot jego pożądlivosti mieć w sobie jakiś czarodziejski talizman, z *pieczęcią Salomona!* Za pomocą tego talizmanu można zdobyć bogactwa świata całego. Od domysłów przeszli wkrótce do legendy — od legendy do przekonania i wiary w zmyślenie: postanowili więc odebrać Huberowi cudowny talizman.

Ludzie tacy, jak Arabowie pustyni, nie wahają zwykle przed żadnem następstwem, kiedy chodzi o pieniądze i interes podobnej wagi. Puszczono się w pogoń za nieszczęsnym archeologiem i stało się, co można było przewidzieć. P. Huber, broniąc swojej własności, d. 29 Lipca r. 1884, padł ofiarą tych barbarzyńców, którzy, zamordowawszy go, przywłaszczyli sobie, nie tylko talizman — ale wszystkie jego rzeczy, pieniądze i papiery.

Skoro tylko wiadomość o tem doszła do Ministerium Spraw Zagranicznych w Paryżu, rozkazano natychmiast vice-konsulowi w Dżeddah przedsięwziąć wszelkie możliwe poszukiwania w celu odnalezienia przynajmniej steli, rzeczy i papierów nieszczęsnej ofiary. Dzięki udzielonym hojnie zasobom pieniężnym, dzięki poważnym wpływom Szeika Si-Aziz ben Szeik el Haddad, rodem z Algeryi, dziś osiadłego w Mecie, ciekawy pomnik i większa część zdobytych w podróży zbiorów naukowych biednego Hubera zostały odnalezione i przywiezione do Dżeddah, z kąd p. de Lostalot, vice-konsul, przywiózł je do Paryża.

Drugim, a niemniej ważnym wypadkiem w łonie Akademii napisów było zdanie sprawy przez inżyniera p. Dieulafoy z powtórnej odkryciowej podróży do stolicy dawnej Suzy, później Chuzistanem przezwanej, dziś stanowiącej wspólną z Lurystanem prowincją Persyi, położoną na południo-zachód, nad Zatoką Perską, po lewej stronie ujścia Tygro-Eufratu.

U starych Persów prowincja ta stanowiła satrapię, której nazwa pismo klinowe wyraża trzema znakami oddającymi dźwięki: „U-W-G“, — „uwga“ albo „uwaga“, stosownie do domyslniej samogłoski, którą położyli nowożytni lingwiści. W tym kraju, zamieszkanym przez Elamitów, lu-

dzi z pochodzenia semickiego, Naród Persów, szczepu Indo-Europejskiego, przybyły, niewiadomo z pewnością z kąd, prowadzący życie koczujące wówczas jeszcze, założył pierwszą swoją stolicę, na której zasiadła Achemenejska jego Dynastia — bo założenie Persepolis, Pasargady i t. d. jest rzeczą późniejszą. Padła Suza wgruzy dopiero po zaborach Alexandra, po Arsakidach.

Wielka odległość od Europy, trudność komunikacji, kraj górzysty i wyludniony — były powodem, że od najdawniejszych czasów rzadki bardzo wędrowiec zabłąkał się aż do ruin Suzy. W naszym wieku wykopaliska doprowadziły do odkrycia szczątków jednej wielkiej sali (*Apdan*), jak ją nazywają perskie napisy, t. j. „sala pokłonów“, czolobitnia, przeznaczona dla ludzi, którzy upadali przed tronem króla królów — sala audyencyonalna. Odkryto też jednocześnie duży napis klinowemi głoskami, w trzech językach, wyrity na podstawie olbrzymich kolumn tej sali.

P. Dieulafoy, rozpatrzywszy się w kraju i poznawszy środki działania w pierwszej swej podróży do Persyi, w latach 1881 i 1882, wyjechał tam powtórnie w r. 1884. Dziś świeżo powrócił, przywiozłszy ze sobą wiele ciekawych i drogiej zabytków, i gotuje się do nowej, ostatecznej, wyprawy. Nowe prace około wykopalisk rozpoczęto właśnie tam, gdzie przed trzydziestu laty zatrzymały się były dawne, wryto się w głąb sztucznego wzgórza, które pokrywa blisko 100 hektarów powierzchni i dosięga od 20 do 25 metrów wyniosłości. W sąsiedztwie rzeki, której dawniejsza nazwa „Choaspes“ dziś się zmieniła w „Kercha“, leży miejscina Dirfont, a przynajmniej tak zwany: Grobowiec Proroka Daniela, uświęcony tradycją wieków, a dziś strzeżony przez Muzułmanów szejckiego obrządku jako droga bardzo świętość.

Po zwalczeniu wielu trudności technicznych, a więcej jeszcze uprzedzeń i przesądów samych mieszkańców Dirfontu, którzy, jak wszyscy ludzie wschodni, myślą, że cudzoziemiec przychodzi im wydierać jakie niezmierne skarby — p. Dieulafoy potrafił zebrać znakomite żniwo archeologiczne w tych ruinach. Są to mianowicie:

1) Olbrzymi kapitel dwugłowy, wysoki na 4 metry, doskonale zachowany.

2) Fryz fajansowy w najżywsze umalowany barwy z polewą; potłuczony, ale cierpliwie złożony z kawałków, mający 4 m. i 5 c.

3) Dwa odlamki fajansowe, zdobiące niegdyś wschody z czasów Elamitów.

4) Wielkie odlamki fajansowych, kolorowanych płaskorzeźb, na których są przedstawieni, w całym swem przepysznie ubraniu, dawniejsi królowie Suzy, zapewne jeszcze przed najściem Persów.

5) Spory zbiór rozmaitych narzędzi ze słonowej kości, ze szkła, z brązu, z gliny — ale ani śladu złota lub srebra.

6) Znakomity zbiór pieczęci elamickich i achemenejskich. Szczególniej pieczęć królewska, rytą na opalu, zasługuje na wielką uwagę.

7) Wielka ilość cegieł polewanych, zachwycającej barwy i rysunku, którymi były pokryte zewnętrzne mury cytadelli, gdzie stały pałace królewskie.

Przedmioty wskazane pod Nr 1—4 włącznie i pod Nr 7 są w drodze na okręcie, który jeszcze nie przybył, ale jest wkrótce spodziewany w Masylii.

Nr 5 i 6 złożone zostały w Muzeum Luwru i po uklassyfikowaniu wystawione zostaną na widok publiczny.

Za epilog do tych wszystkich wiadomości literackich i naukowych posłużyć nam może wybornie trzeci z kolei, a miejmy nadzieję, że tym razem już ostatni — testament Wik. Hugo. Pierwszy z tych aktów, jak wiecie, był to testament duchowy, zawierał obrachunek z Panem Bogiem i z Kościołem; drugi wyrażał ostatnią wolę co do majątku; ten trzeci nareszcie jest takzwanym testamentem literackim.

Nie będę go wam przepisywał dosłownie, bo redakcja rozporządzenia jest mniej ciekawą niżeli sama rzecz, o którą w niem chodzi. Gazy tutejsze, wszelkich barw i odcieni, pochwyciły

go łapczywie i dały mu rozgłos, który i was dojść musiał. Ograniczę się zatem do krótkiej uwagi nad tem, co zawiera w sobie ostatnia ta wola człowieka, który, bacznym i troskliwym o swoją chwałę i po śmierci nawet, nie chciał tego starania złożyć w obce, choćby najdroższe i najwierniejsze mu, ręce. Urządził więc wszystko tak, jak się urządza kult na cześć nieznanego bóstwa.

Słowo jeszcze wstępne o tem, jak się nagromadził ten zbiór szpargałów, który sam Hugo nazywa imieniem *Oceanu*. Otóż od lat już niepa-miętnych był zaprowadzony w domu ten zwyczaj, że poeta, oprócz poezji i dzieł, które były pisane jednym nieprzerwanym ciągiem, wszystko, co-kolwiek mu przychodziło do głowy, czy jako dziwny wyraz, sentencja, wiersz, nazwisko osoby, tytuł książki i t. d., schwyciwszy pierwszy lepszy świstek papieru, który mu się nawinął pod rękę: podartą kopertę, kwit ze sklepu, kawałek listu, dziennika, kartę wydartą z książki — spisywał tę myśl ulotną, ten wyraz lub uwagę i rzucał na ziemię.

Kiedy się skończyły przeznaczone a nigdy niezmiennie godziny do pracy, osoba szczególnie uprawniona i zarazem zobowiązana, robiła porządek na biurku i zabierała to, co stanowiło główną pracę poety i co było pisane na ogromnych pół-arkuszach specjalnego papieru, gęsim piórem i wielkimi literami; potem zmiatała świstki, rozrzucone po podłodze, składała je w jedną paczkę i kładła do umyślnego kufra czy szafy. I tym sposobem powstał ów ogromny materiał, który w testamentacie występuje pod nazwą *Oceanu*. Znajdują się tam np. takie zaznaczenia: „Światło jasności! Ciężar potęgi! Duch, to życie podnie-sione do ostatniej potęgi! Nr 14, Ulica Madamel Beranger i Wolność i t. d.“

Eksekutorami testamentu są: pp. Paweł Meurice, August Vacquerie i Ernest Lefèvre. Oni-to mają prawo, a raczej prosty obowiązek, rozdzie-lić cały zbiór manuskryptów pozostałych na trzy części: dzieła zupełnie skończone, dzieła zaczęte i skończone w części tylko, na koniec: bruliony, fragmenta, myśli ulotne, wierszem i prozą, rzucone tu i owdzie, bądź w notatnikach, bądź na ulotnych kartkach.

Pierwszy dział ma być ogłoszony drukiem naj-pierwej — potem, po dostatecznym rozprzedaniu książki, nastąpi dział drugi — a na końcu „Ocean“

Hugo wyznaczył placę trzem przyjaciółom:
po 15% czystego dochodu z pierwszego działu,
po 25% „ „ z drugiego działu,
po 50% „ „ z „Oceanu“.

Przyjaciele obowiązek przyjęli, ale wyznaczo-nej nagrody się zrzekli, przeznaczając część pierwszą na pomnik. A gdy pomnik zostanie wzniesionym w Paryżu, pomyślą następnie o po-mniku w Besançon, a na koniec i o wspólnym gro-bowcu w Fanteonie.

Pierwszy dział jest już jakoby gotowym do dru-ku; obejmuje pięć sztuk teatralnych. Dział dru-gi — są to poezje z czasów II-go Cesarstwa i woj-ny — ma mieć za tytuł: *Années sinistres*. Trzeci dział, oceanowy, jest największy i obliczają ob-szerność jego na dziesięć tomów.

Tak ten wielki człowiek wszystko przewidział, wszystko obliczył aż do ostatniego świstka. Po-trzeba silnej wiary w siebie, albo niezmierniej pogardy dla głupoty ludzkiej, żeby stojąc już nad grobem, dawać ludziom, jako duchowy pokarm, taką rzecz jak: „Ocean!“

Kiedy pomyślimy o tylu a tylu wieszczach, któ-rzy radzi byli wydrzeć z rąk świata to, co mu już byli dali, kiedy, oprócz dwóch i to niepewnych, pod-pisów Shakespeare'a, nie mamy ani jednego najli-chszego po nim rękopisma, — człowiek czuje, że w swym testamencie literackim Wiktor Hugo py-cha i rogami niebo przebija.

Warunki życia we wszechświecie.

(Dalszy ciąg).

Sila życiowa przejawia się z energią, jakiejby nikt nie osmielił się przypuszczać, gdyby jej nie stwierdzała bezpośrednia obserwacja. Po opa-nowaniu mórz wystąpiła ta siła z wód i wcieliła się w jestestwa, zrazu ziemnowodne, a następnie w wyłącznie lądowe. Rozmnażanie się jestestw już nie spełnia się wówczas drogą dzielenia lub pączkowania, występuje bowiem jajko, nowy śro-dek rozplodu, krzewiący życie, zastępujący śro-dek pierwotny. Meduzy pochodzące z przekształ-towań polipów, rozradzają się już z jajek, te znowu dają życie polipom kwiatczkowatym, zwa-nym *hydrami*, z których powstają nowe meduzy i tak dalej. Któż mógłby powołać się na cen-niejsze dowody, poświadczające zmienność form gatunkowych? Hydry już nam okazują, że orga-nizm najprostszemu może przyjmować kształty naj-rozmaitsze, schodzić ze szczybli organizacyi, lub na nie wstępować, i pozwalają nam śledzić krok za krokiem te cudowne przeobrażenia.

Żyjątki (Protozoa) mięczaki, skorupiaki, ryby, występowały w wodach przed zjawieniem się je-stestw oddychających powietrzem atmosferycz-nem, które też od nich pochodzą. Skrzela po-przedziły płuca. Jedno ze zwierząt oddychają-cych w wodzie może dziś jeszcze przekształ-cać się w zwierzę oddychające powietrzem atmosferycznym. Wątpiono wszelako o tem aż do 1865 roku. W tym-to roku paryżkie mu-zeum historii naturalnej otrzymało axoloty to jest kijanki skrzeków ogoniastych o skrzelach zew-nętrznych, żyjące w jeziorze sąsiednim miastu Mexico. Professorowie muzeum osłupieli, wi-dząc jednego pięknego dnia istoty te wychodzące z wody: *utrąciły one skrzela, które przeworzyły się w płuć*. Od tego czasu poczyniono na wielu in-nych jestestwach liczne sprostowania, które stwierdziły zdumiewające transformacje; mię-dzy innymi wypadła tu wspomniana o małej żabce zielonej, znanej dobrze każdemu. Żwierzątko to znosi jajka, z których rodzą się kijanki, prze-kształcające się w żaby, co jest zwykłym zja-wiskiem w tych gatunkach; wszelako zaobserwo-wano pewien gatunek na Wyspach Antylskich, w którym przeobrażenie następuje w samym jaj-ku. W tem mieści się kijanka posiadająca ogon i skrzela, wszelako po upływie dziesięciu dni wychodzi z jajka jestestwo bez ogona i bez skrze-li, oddychające płucami. Fakta te w połączeniu z innymi świadectwami transformizmu, jakie dziś posiadamy, udowadniają, że natura umie urozma-icać kształty i ustroje jestestw, w celu przystoso-wywania ich do zmian ośrodków pozornie im naj-przeciwniejszych i najróżnorodniejszych.

Wszelako człowiek broni swych przesądów tem uporczywiej, im są ciśniejszemi i ciemniejszymi. Powiadają, że byłoby nierównie łatwiejszą rze-czą wmówić w głupca, że posiada rozum, niż go przekonać, że jest z niego ogołoconym. Tym głupcem w zasadzie jest z nas każdy, gdyż naj-trudniej nam wszystkim przychodzi wyzwolić się ze wszelkich przesądów spaczonych naszego wy-chowania. W chwili gdy kreślę te słowa, mam obok siebie przyjaciela lat dziecinnych, który wielce jest dumny z tego, że pochodzi od Fran-ciszka I. Ojciec jego czynił wiele starań dla upewnienia się o rzeczywistości jednej sceny z dramatu *Król bawi się*, i dla stwierdzenia, że jego prababka pozyskała „względy“ królewskie. Nie mógł on nigdy tego zrozumieć, że w tem wszystkim nie było nic wielce zaszczytnego, i że najskromniejsze przymioty osobiste miałyby owiele większą wartość od tego rodzaju splen-doru. Nie, w tej rodzinie każdy czuje się szlach-cicem, i to mu wystarcza. Ztąd też wszystko, czego mój szlachetny przyjaciel i jego szla-chetny ojciec mogli od pół wieku nauczyć się, re-dukują się do... nauki jeżdżenia konno, a i ten

ich nabytek pozostawia jeszcze wiele do życze-nia.

Im sfera, w której żyjemy, jest bardziej ściśnio-na, tem mniej pozostawia możliwości wydobycia się z niej. Co do nas, żyjących po-nad światem morskim i jego bezgłowymi potworami, powin-niśmy wiedzieć, że w organizacyi życiowej nawet naszej planety są dwa wielkie, główne systemata istnień, całkiem od siebie odrębne, i że jestestwa należące do jednego lub drugiego z tych dwóch królestw pozostają w najzupełniejszym błędzie, gdy poczytują swój żywioł za element całego wszechświata. Mieszkaniec wód nie może pojąć, że można żyć poza obrębem wody. Jestestwo oddychające powietrzem atmosferycznym z tru-dnością przypuszcza, że można żyć w wodzie. Wszelako faktem jest, że żyć można równie po-dobnie w wodzie, jak i poza jej granicami. Orga-na tylko są różne. Ten podział życia ziemskiego na dwa systemata istnienia całkiem od siebie odrębne jest ważną nauką, jakiej nam udziela na-tura. Powinien on być sam przez się wystar-czającym do obalenia zarzutów uczonych, którzy chcieliby wykreślić inne światy z księgi życia, dlatego tylko, że nie są one identycznymi z miej-scem naszego pobytu. Napróżno odpowiemy im, że w wodzie, równie, jak w powietrzu, istnieje tlen utrzymujący życie; wychodząc z tego punktu, będą twierdzić, że woda poczytywana za ośro-dek życiowy, nie różni się w swej istocie od po-wietrza. Odpowiedź tu byłaby łatwą; pomię-dzy bowiem temi dwoma żywiołami różnica jest taka, że mieszkańcy jednego żywiołu wymierają poprostu w drugim.

Chcąc żyć w jednym z nich, potrzeba organów odmiennych od tych, jakie posługują do życia w drugim, a organa te istnieją. Cała kwestya sporna tu znajduje rozwiązanie. Sama natura daje odpowiedź.

Odpowiada ona podwójnie, okazując, że zaj-muje się zmianami organów dla przekształcenia jestestw wodnych w jestestwa powietrzem wol-nem oddychające, i odwrotnie.

VII.

Wszelako natura daje nam wiele innych od-powiedzi niemniej stanowczych. Chcemy tu mó-wić o mieszkańcach wód. Czyż nie pamiętamy twierdzeń naturalistów krótkowidzów, którzy nie-dawno wygłaszali z całą powagą naukową, że życie jest niemożliwem w głębi mórz? Olbrzy-mie ciśnienie wód i zupełny brak światła były dwoma niezbitymi argumentami. W rzeczy sa-mej, jakież organizm mógłby się oprzeć takiemu ciśnieniu? I działa stalowe nie wytrzymałyby! A wreszcie czyż światło nie jest koniecznym dla zjawisk życia roślinnego i zwierzęcego? W jaki sposób węgiel mógłby utrwać się w podobnych warunkach? Jakże mogły wytworzyć się rośliny? Co się zaś tyczy zwierząt, coż one poczęłyby, zanurzone wiecześnie w ciemności najzupełniej-szej?

Naturaliści niezależni zaczęli jednak powątpie-wać o prawdziwości owych twierdzeń i odbywali podróże w dalekie kraje, dla zbadania łożyska morskiego. Sonda zapuszczana do głębokości dwóch, trzech, czterech, sześciu i ośmiu tysięcy metrów, (Anglia w 1868 r., Francja w 1880 r.) wykazała istnienie jestestw osobliwszych, dzi-wacznych, niepojętych, lecz bądź co bądź zorga-nizowanych dla życia w tych ciemnych, ponurych otchłaniach wodnych. Czyż twory te są, jak prze-widywano, osłonięte straszliwym pancerzem, rodzajem tarczy ze spiżu, czy pokryte granitem lub żelazem? Bynajmniej, są to mięczaki ustroju niezmiernie delikatnego, organizmy podobne do kwiatów, istoty przypominające motyle, których zaledwie ośmielamy się dotknąć palcem. Organa ich wewnętrzne są w najdoskonalszej równowa-dze z ciśnieniem ośrodka zewnętrznego, i gdy je wydobywamy z głębi wodnej, zanim dostaną się na powierzchnię morza, bezzwłocznie umierają dotknięte apoplexyą. Stwierdzono tu przedziwne przystosowanie się tych jestestw do ośrodka, w jakim żyją. Jakże nieskonczone środki znaj-

dujemy w pracowni przyrody! Nie odbierając z olbrzymiej odległości odbicia się światła słonecznego, żyjąc w samym łonie najzupełniejszej ciemności, wytwarzają one przecież same z siebie brakujące im światło! Wiele z tych jestestw są fosforescencyjnymi, rozlewają też w otchłaniach morskich słaby blask, do jakiego ich oczy odpowiadają są zbudowane. Ta ich lampa jest słońcem im wystarczającym; gdyby mogły odgadnąć światło migające w cieniu naszych rzek, i gdyby do nich się dostały, porażone byłyby światłem panującym w norach, w których się ukrywają, a mniej jeszcze mogłyby pojąć istnienie prąga lub kielbisa, przeslizgującego się żywo, jak promienie srebrne, w przejrzystym kryształym strumieniu. I kto wie? może ta fosforescencyja osobista jest dla nich elementem przyjemności, mogącym wytwarzać odcienie nieskończone, któreby nie pomieniały za nasz nieosobisty środek pozyskiwania światła?... Urzeczywistniły one bezwiednie tajemnicę tego pierścienia z powieści czarodziejskich, który czynił szczęśliwego jego posiadacza dowolnie widzialnym lub niewidzialnym. Taką władzą, jak się zdaje, nie można całkiem pogardzać. Bądź co bądź, ci, którzy zapoznali się ze światem głębi podmorskich z prac badaczy angielskich i francuzkich, wiedzą, jak niepojęta różnaitość tam panuje. Tacy też lepiej oceniają środki natury i z nich wnoszą, że nie mamy prawa wygłaszać martwoty światów różniących się od naszego i że przyroda sama przez się jest płodniejszą od naszej wyobraźni.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZIMA W FU-CZEU.

SZKIC GEOGRAFICZNY.

przez panią L. P.

przekład z Francuzkiego.

(Dokończenie)

Przebywamy więc z dobrą miną wobec ludności hałaśliwej. Towarzysz mój pobudza tragarzy do pośpiechu; nie należy bowiem nigdy zostawiać czasu do reflexyi ludziom złej woli.

Opuszczamy wreszcie wioskę bez przeszkody i wąską niebezpieczną ścieżką udajemy się na górę klasztorną. Klasztor jest w zdumiewający sposób zbudowany na skałach, prawie że oderwanych od góry.

Bonźowie przyjęli nas jak najsympatyczniej. Poczęstowali nas tem, czem mieli: jarzynami i jajami. Podczas śniadania przybiegł mój chłopiec Assai, w ogromnym strachu, błagając mnie, abym dała trochę pieniędzy Chińczykom, którzy mu zagrozili, że go wrzucą w przepaść ze skały, jeśli mnie nie skłoni do ofiarowania im datku. Uczyniłam to dla uspokojenia go. Potem zesłam ścieżką pieszo i po dwóch godzinach znowu znalazłam się w naszej dżonce.

W kilka godzin potem weszliśmy na drogę do Fu-Czeu. Przybywszy do domu po trzech dniach żeglugi, żalowałam tego życia na wodzie i przyrzekałam sobie, że wkrótce je znowu powtórzę.

Tymczasem zostałam zaproszoną na obiady do Czeng-Ki-Tonga, do konsula angielskiego i do innych jeszcze Anglików i Francuzów. Obiad u nich odbywa się bardzo uroczystie. Stoły przybrane są obficie kwiatami. Służący chińscy posiadają szczególny talent ubierania stołów girlandami i wieńcami, co sprawia miłe i wesołe wrażenie, a nie przeszkadza biesiadnikom.

Po obiedzie przyjęłam propozycyą generała Czenga: obejrzenia sławnego arsenału.

Budynek ten przypomina obszerny dworzec kolei żelaznej. Wielkie wrota otwierają się na drogę żelazną, graniczącą z dwóch stron z kuźniami, w których ogień podtrzymywany jest za pomocą parowych miechów. Maszyna ma koło rozpędowe, ogromnych rozmiarów, wprawiające w ruch młoty parowe, tak potężne, że są w stanie wykuć osie dla największych okrętów, ale też i dosyć delikatne, aby sprostować szpilkę zagiętą. W drugiej pracowni, znajduje się fabryka blachy żelaznej i stalowej do okrętów wojennych.

Przeszliśmy wielkie brukowane podwórze, po boku którego kursują po szynach wagony z materyałami do roboty, rozdając je rozmaitym pracownikom. Weszliśmy też do sal, w których wykonywają się wszystkie roboty należące do wojskowości lub żeglarstwa. W jednej z nich jest rodzaj szkoły, gdzie rysunki i modelowanie wykładane są przez nauczycieli francuzkich.

Wszyscy professorowie twierdzą jednogłośnie, że Chińczycy w porównaniu z Turkami i Arabami, są bardzo zdolni w pojmowaniu mechaniki, stosowanej w arsenałach. Zdolność ta powinna wywołać reflexyą w Europie, lubiącej imponować swą cywilizacyą. Chińczycy wezmą od niej co ma najlepszego, i użyją jej własnych środków na jej niekorzyść. Kiedyś było wielu robotników, majstrów i kierowników cudzoziemców w arsenałach fu-czeuskim, teraz niema ich już wcale pomiędzy robotnikami, i tylko niewielu kierowników pozostało. Chińczycy, nauczyszcy się wszystkiego od Europejczyków, powoli zastąpili ich rodakami.

W innym miejscu, widzimy robotników, robiących modele drewniane do odlewów żelaznych. Inni zaś budują maszyny parowe, do użytku uczniów tej wielkiej szkoły rzemieślniczej. Dużo widać robót skomplikowanych, wykonanych jedynie na zasadzie rysunku. Wogóle Chińczycy są pracowici, akuradni i roztropni, a z temi trzema zaletami można zająć daleko. Uczniowie tej szkoły rzemieślniczej mieszkają tam i przywiązują się do niej.

Pokazano mi kanonierki dopiero co skończone. Na pokładach miały działa Armstronga. W rozmowie z urzędnikami często słyszałam imię p. Prospera Giquel, twórcy tego arsenału. Później spotkałam p. Giquel w Paryżu, po bombardowaniu arsenału fuceuskiego. Był on niezmiernie zmartwiony. Jakkolwiek Francuz, nie mógł bez bólu pomyśleć o zniszczeniu zakładu, który z takim trudem wystawił.

Pożegnawszy się z kierownikami i z przyjacielskimi mandarynami w arsenałach, powróciliśmy do Fu-Czeu, aby rozpocząć nanowo życie miejskie. Życie to polega na wstawaniu z łóżka około południa, zjedzeniu śniadania, oddaniu kilku wizyt, poczem następuje spacer.

Taka rozrywka wkrótce mnie znudziła, zwłaszcza, gdy, przez przyjaźń z kilku właścicielami stajen, musiałam chodzić przyglądać się, jak ich konie jedzą marchew.

Byłoby to wzruszające, gdybyśmy nie wiedzieli, że ta czułość jest wyrachowaną, gdyż zyski właścicieli zależą od zdrowia koni. Ja jednak wolałam oglądać groby mandarynów lub pracowni lakier-

nicze. Studiowałam tę procedurę, która jest rzeczywiście dowodem wielkiej cierpliwości i sztuki. Potrzeba bowiem trzech miesięcy czasu, aby dobrze wylakierować jeden przedmiot, a miesiąca na wymalowanie go. W Fu-Czeu znajdują się jeszcze fabryki mebli ze skóry stwardniałej, przedmiotów z różowego i szarego kamienia, wydobywanego z gór okolicznych, fabryki złotych wyrobów, a nadewszystko bransolet ze złota i plecionek, które są bardzo ładne. Materye jedwabne przychodzą z Szang-Hai i Pekinu. Oprócz tego jest jeszcze dużo starożytności w sklepach, a amator może sobie tu zebrać dobór porcelany, emalii i lakierów, jak również starożytnych haftów.

Zwiedziłam starannie dwie fabryki herbaty. Oto historia herbaty. Podczas lata właściciele wysyłają kilku młodych ludzi na zakupy w głąb kraju, o siedm dni żeglugi, po rzece Min. Są tam wielkie plantacje, urządzone na górach gliniastych. Chińczycy uprawiają je starannie i podlewają, co im przychodzi z wielkim trudem, na spadzistych górach. Żniwa zaczynają się w Kwietniu, a kończą we Wrześniu. Najlepsza jednak herbata jest ze zbiorów Kwietniowych, Majowych, Czerwcowych i Lipcowych. Listki są wtedy małe, żółte i cienkie, później już grubieją. Chińczycy wsympują listki do wielkich kosów i tłoczą je nogami, tak, że często ranią sobie nogi. Sok wychodzący zostaje na listkach. Po tej manipulacji ogrzewają liście w workach na słońcu, wskutek czego zwijają się one i czernieją. Wtedy zwołuje się dorosłych i dzieci obojej płci i wszyscy gatunkują herbatę według rozmiarów liści. Listki cienkie i niepołamane odkładają osobno, i te stanowią najwyższy gatunek.

Na miejscu 150 funtów kosztuje 20 złotych. Nie więc dziwnego, że handlujący herbatą tak się bogacą.

Najlepszą herbatę zbierają w miejscowości o siedm dni drogi od Fu Czeu. Nigdzie tak dobrej nie można znaleźć. Napar tej herbaty ma kolor ciemno-żółty, a zapach przesłizny. Aromat ten zawdzięcza kwiatom jaśminu, który uprawiają na polach.

Herbata cegielkowa (prasowana) robi się z gorszych gatunków liści niezwijanych.

Od herbaty proste przejście do wieczorów.

Na balach w Fu-Czeu na trzydziestu mężczyzn bywa 5 dam. Zauważyłam to na balu towarzystwa *Motyli nocnych*. Ponieważ damy mają pod ręką jedwabie chińskie, więc, naturalnie, nie noszą ich na balach i używają wyłącznie materii europejskich. Elegancka z Szang - Hai, z Hong-Kong lub Fu-Czeu, starannie unika noszenia świetnych chińskich materii, przekładając nad nie nawet braki wielkich magazynów europejskich. Bale i obiady przedstawiają tam mało interessu. Ludzie zbierają się prawie tylko dlatego, aby nie zapomnieć zwyczajów europejskich i aby powiedzieć: „Chociaż żyjemy na antypodach Europy, potrafimy znaleźć się w salonie.“

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 14-ty powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey.

TREŚĆ. Zjazd pedagogiczny w Przemyśle, przez W. Nowickiego. — Pogawędka. — Nigdzie mu dobrze nie było, obrazek z życia, (dokończenie), przez Quis'a. — Przegląd teatralny, przez S. Krzemińskiego. — Nowiny paryżskie, (dokończenie). — Warunki życia we wszechświecie, (dalszy ciąg), przez K. Flammariona. — Zima w Fu-Czeu (w Chinach), szkic geograficzny, (dalszy ciąg), przez panią L. P.

Dodatek obejmuje: Arkusz 14-ty powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey. — 27 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycyą stołu*.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Августа 1885 года.

Szlak do przybrania portier, stor i t. p. gobelinowym haftem.

Rycina Nr 1 i 2.

Szlak haftuje się na kremowej, przerabianej złotem kanwie „płanama“, różnobarwną filozelą. Ryc. 1 przedstawia część szlaku w naturalnej wielkości, a ryc. 2 wzór haftu, w którym każdy ścieg zajmuje 1 parę kanwy szerokości i 2 pary wysokości.

Szal robotą szydełk.

Rycina Nr 3 i 4.

Szal zrobiony z podwójnie złożonej czarnej moherowej włóczki, a składa się z czterech 230 c. szerokich pasów robionych osobno, następnie połączonych i otoczonych koronką. Na taki pas (ryc. 4), robi się odpowiedniej długości minardisę, na podwójnej stalowej śpilce, 6 centim. szerokiej, z podwójnie złożonej włóczki zrobić cienkim szydełkiem 1 oczko, wziąć je, wyciągnąwszy wprzód szydełko, pomiędzy wskazujący i duży palec lewej ręki, następnie wziąć w te same palce stalową śpilkę, zwrócić końcami na dół, wprowadzić włóczkę pomiędzy końce, owinać nią prawy koniec z prawej na lewą stronę i założyć ją o palec lewej ręki, jak przy drutowej lub szydełkowej robocie. Potem włożyć szydełko w zrobione oczko złapać i przeciągnąć przez nie nitkę, odwrócić śpilkę z prawej na lewą stronę tak, aby się z nitki, która wtedy będzie się znajdowała na prawym końcu śpilki * zrobiła nowa pętka, dalej 1 ocz. ściśle, śpilkę odwrócić z prawej na lewą stronę, a od * powtarzać, zważając tylko, aby ściś. oczko zawsze bardzo mocno było zaciśnięte. Po zrobieniu w taki sposób minardisy, robi się na niej kolej 1: 1 ściś. ocz. w najbliższe ściśle ocz. minardisy, 5 pow. ocz., * 1 ściśłem ocz. połączyć 16 następnych pętelek minardisy, 5 pow. ocz., 1 ściś. o. w ocz. ściś. minardisy, 5 pow. ocz., od * powtarzać; przy końcu minardisy zrobić 5 pow. ocz.,

i złapać 8 najbliższych pętelek z drugiej strony minardisy tak, aby deseń był mijany i następnie robić jak wyżej. Kolej 2: 3 pow. ocz., 1 ściś. o. w drugie z 5 pow. o. poprzedniej kolei, 3 pow. o., 1 ści. ocz. w drugie ści. ocz., 3 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w 2 o. z 5 pow. ocz., * 3 pow. ocz., 1 kółko w najbliższe ści. o. (na to kółeczko 4 razy naprzemian: owinać nitkę na szydełko i zrobić 1 o. w poprzecznie zrobione, przerobić w jedno wszystkie zebrane ocz., obejmując wszystkie nitki kółeczka), 2 razy naprzemian: 3 ocz. pow., 1 ocz. ści. w środkowe z 5 pow. ocz., od * powtarzać, robiąc na po-



Nr 3 Szal robotą szydełkową. (Do ryc. 4).

przedstawia chusteczkę z szafirowego batystu, ozdobioną biało haftowanymi szlaczkiem, a ryc. 8 chusteczkę szarą z gładkim białym obrębkim.

Ubranko z krepy.

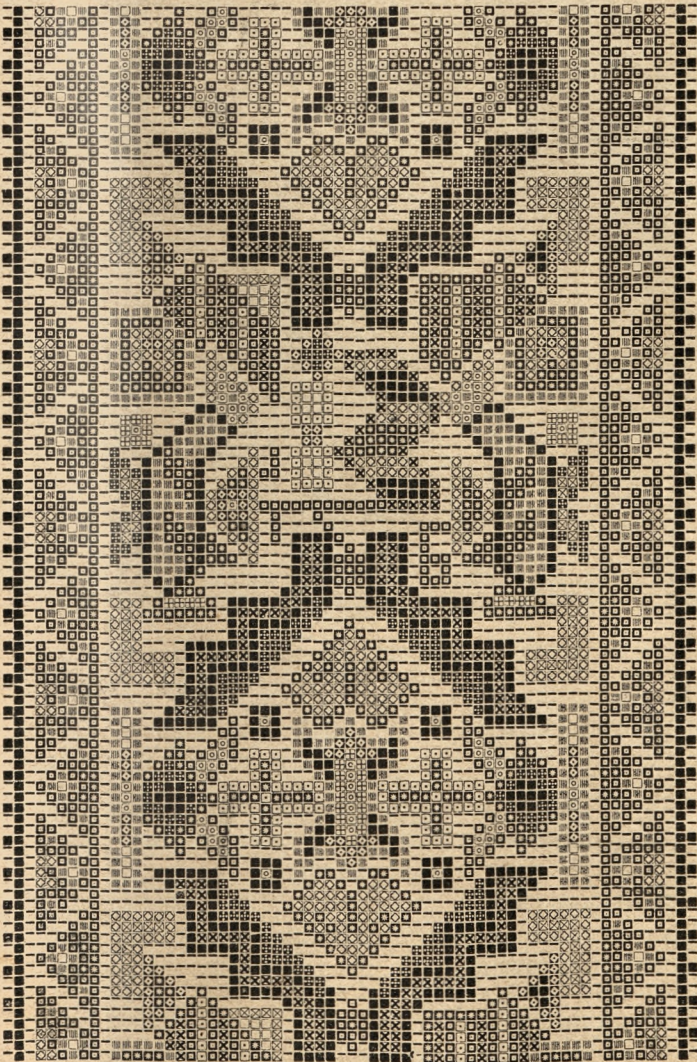
Rycina Nr 6.

Na to ubranko trzeba najpierw zrobić fasonik z kawałka sztywnego tiulu, 27 cent. szerokiego, a 15 cent. długiego; końce tego tiulu zaokrąglić, brzeg ufałdować, objąć drutem i wstążeczką. Na tem fasoniku upiąć, podług ryciny, 12 cent. szeroki kawałek żółtawej krepy, przybrany na 7½ c. szeroko haftem w arabskim guście różnobarwnymi jedwabiami; szlaczek ten obejmuje fasonik, jak falbanka, a gładko krepa upięta bufiasto na wierzchu główki.

Kapturek szydełkową robotą.

Rycina Nr 14

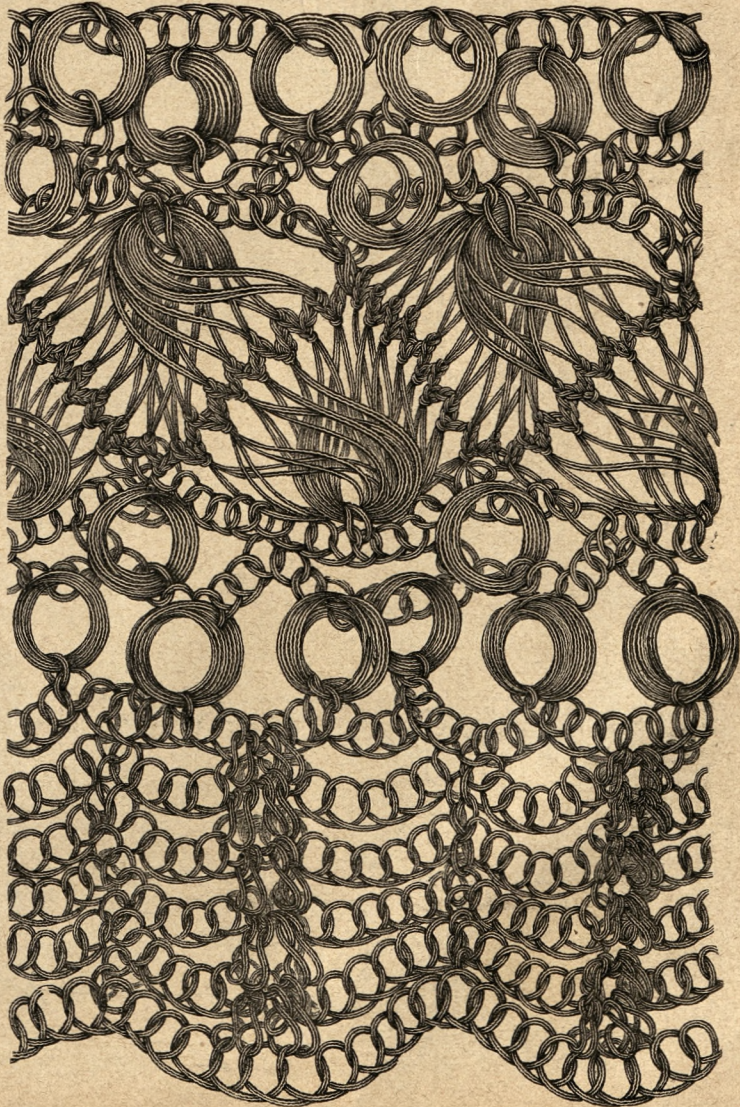
Kapturek z podwójnie złożonej moherowej kremowej włóczki, robi się w poprzek w jedną stronę i napowrót, przybrany w koło koronką, a z przodu kokardą z kremowej atlasowej wstążki. Kapturek zaczyna się od środka na założeniu z 58 ocz. Kolej 1: 5 ocz. najbliższych opuścić, 2 ściśle ocz. przedzielone 12 pow. ocz. w następne



przeznaczonych stronach pasa tylko łuki powietrznych o., zamiast kółeczek. Kolej 3: (robi się tylko na stronach podłużnych) ciągle naprzemian: 1 kółko w środkowe z 3 ocz. pow. i 3 pow. ocz. Na połączenie szlaków robi się ciągle naprzemian: 1 o. ściś. w środkowe z 3 pow. ocz. obydwóch szlaków, 3 o. pow. Po połączeniu szlaków otacza się szal koronką następującą: Kolej 1 ciągle naprzemian: 1 ściś. o. w środkowe z 3 pow. ocz. i 3 pow. ocz. Kolej 2: * 1 ściś. ocz. w środkowe z 3 o. pow., 2 pow. ocz., 4 słupki w środkowe ocz. z 3 następnych pow. ocz., 2 pow. ocz. od * powtarzać. Kolej 3: * 1 ściś. ocz. w ocz. ściś. poprzedniej kolei, 2 pow. ocz., 4 słupki w pętęlkę znajdującą się pomiędzy 2 środkowymi z 4 słup. poprzedniej kolej, 2 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 4 do 6 jak poprzednia, jednakże w 6 kolei zamiast 4 słup., robić 6 słupków.

Chusteczki od nosa dla pań.

Rycina Nr 5 do 8.



Nr 4. Część szala r. 3 robotą szydełkową. Wielkość naturalna.

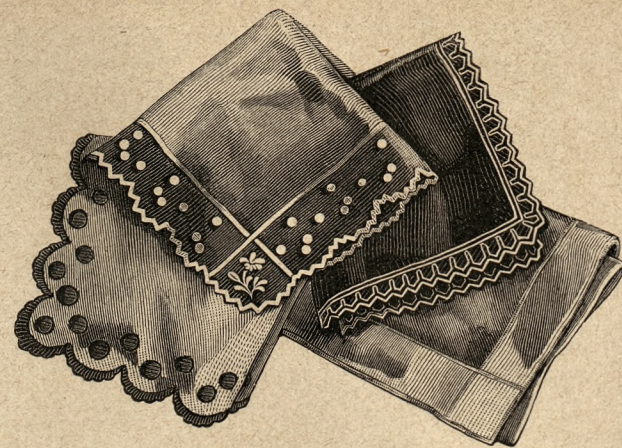
Objaśnienie znaków: ■ pierw. (naje.), * drugi, □ trzeci (najjaśn.) pasowy, □ ciemno-eglasty, □ jasno-eglasty, □ pierw. (najciem.), □ drugi, □ trzeci, (najjaśn.) oliwkowy, □ ciemno-niebieski, □ jasno-niebieski, □ ciemno-niebiesko-zielony, □ jasno-niebiesko-zielony, □ czarny, - tło.

Chusteczki te od 34 do 38 cent. w kwadrat, zrobio-

ocz., potem 13 razy naprzemian: 5 pow. ocz. 2 ocz. ścis. przedzielone 12 pow. ocz. w następne ocz. założenia. Kolej 2: 14 razy naprzemian: 5 pow. ocz., 2 ścis. ocz. przedzielone 12 ocz. pow. w środkowe z 5 pow. ocz. poprzedniej kolei. Kolej 3 do 52 jak poprzednio; na tem się kończy połowa kapturka, druga zaś połowa robi się na drugiej stronie ocz. założenia, jak wyżej opisano, tylko że w pierwszym rzędzie 2 ocz. ścis. przedzielone 12 ocz. pow., zrobić w środkowe z 3 wolnych jeszcze oczek założenia. Na koronkę robi się 1 kolej jak wyżej opisane. Kolej 2: 3 ścis. ocz. łańc. w 3 najbliższe ocz. poprzedniej kolei, 2 pow. ocz., 3 słup. w to samo ocz., w które zrobione było ostatnie ocz. łańc., potem ciągle naprzemian: 1 pow. ocz., 4 słup. w środkowe z 5 pow. ocz. na końcu 1 ocz. pow. i 1 ścis. łańc. ocz. w drugie z pierw. 2 o. pow. tejże kolei, na rogach trzeba naddawać, aby robota się opinała. Kolej 3 ciągle na przemian: 20 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w najbliższe pow. ocz. poprzedniej kolei. Kolej 4: 2 ocz. ścis. w najbliższe ocz. przedostatniej kolei, 2 pow. ocz., 3 słup. w петельkę przed najbliższym słupkiem tej samej kolei, potem ciągle naprzemian: 1 pow. ocz., 4 słup. pomiędzy 2 środkowe z 4 słup. przedostatniej kolei, na końcu 1 ocz. pow., 1 ścis. ocz. w 2 ocz. pow. tejże kolei. Kolej 5 jak 3. Kolej 6 i 7 jak 4 i 3. Kolej 8: 2 ścis. ocz. w 2 najbliższe ocz. przedostatniej kolei, 2 pow. ocz., 7 słup. w петельkę przed najbliższym słupkiem tej samej kolei, * 4 ścis. ocz. przedzielone 22 pow. ocz. w najbliższe powiet. ocz. przedostatniej kolei, w które zrobione ścisłe ocz. ostatniej kolei, 8 słup. pomiędzy środkowe z 4 słupków ostatniej kolei, od * powtarzać, a na końcu zrobić za-



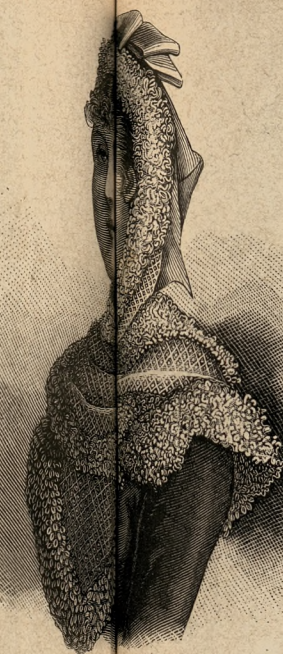
Nr 15. Fartuszek dla paniąki od 8 do 10 lat. Krój i opis pier. str. tabl. Nr III, fig. 11 i 12.



Nr 5 do 8. Chustki od nosa dla pan.



Nr 9. Ubranko krepowe prz. brane haftem.



Nr 14. Kapturkowa robota.



10 do 12. Kołnierzyki.



Nr 13. Czepeczek z „surah” i koronki.



Nr 16. Fartuszek dla panienek od 9 do 11 lat. Krój i opis pier. str. tabl. Nr II, fig. 9 i 10.

wtedy, gdy już z zupełną łatwością odchodzą; po kilku godzinach tak z pestek oddzielnie leżących, jak i z wiśien zciecie sos, który należy przesmarzyć, jak zwykle, z cukrem na sok, a same wiśnie na powietrzu płasko rozłożone na półmiskach lub blachach przewiednąć i dopiero posypać na słomę na blachach, w bardzo lekkim piecu suszyć, kilka razy — na dosuszeniu nawlekać je na grube słomki i posypywać bardzo miłym cukrem, lub też dobrze już przesuszone sypać warstwami do szklanego słoja, przesypane cukrem — trzymać w suchym miejscu, a będą wyborne, nawet lat parę; dla chorych doskonały kompot z nich robić można, jak ze świeżych.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z jarzynkami „julienne”.
2. Sztukamięsa biała z mizeryą.
3. Kotlety baranie z grzybami ze śmietaną.
4. Legumina owocowa na porcelanie (patrz 365 Obiadów).



Nr 19. Suknia z aksamitnej gazy i „satin-merveilleux”. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 26—28.

Nr 20. Suknia z beżu. Opis odwr. str. tabl.



Nr 17. Suknia z koronki i jedwabnej materji. Plecy. (Do ryc. 18). Opis odwr. str. tabl.

miast ostatnich 4 słupków i 1 ścis. ocz. w 2 pow. ocz. tejże kolei.

Szlak na meble ścięciem płaskim, łańcuszkowym, pocztowym, cerowanym i rybniej łuszczy.

Rycina Nr 27.

Szlak zrobiony na 20 cent. szerokiej klockowej koronce, z jasnych, dość grubych konopnych nici; deseniowe figury koronki zahaftowują się ścięciem płaskim, pocztowym łańcuszkowym, cerowanym i w rybnią łuszczykę, różnobarwną włóczką, filozelą i złotym sznurkiem, a mianowicie: gwiazdy i liście haftują się pasową i brązową, lub też niebieską i różową włóczką w wielu cieniach, ścięciem płaskim, poprzeczne ścięgi brązową filozelą, a pocztowe w środku gwiazdki i żyłki liści oliwkowym jedwabiem; tło kwadratu pokryte



Nr 18. Suknia z koronki i jedwabnej materji. Przód. (Do ryc. 17). Opis odwr. str. tabl.

złotym sznureczkiem, ułożonym raz przy razie i otoczone pasmem oliwkowej włóczki. Żęby i słupki zahaftowane pasową i brązową włóczką, ścięciem cerowanym, a następnie otoczone ścięciem łańcuszkowym; małe ząbki zahaftowane błękitnym jedwabiem i jasną włóczką, ścięciem pocztowym, wym. ażurowe tło ozdobione krzyżującą się brązową włóczką i złotym sznurkiem.

Przepisy gospodarskie.

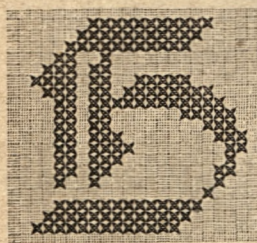
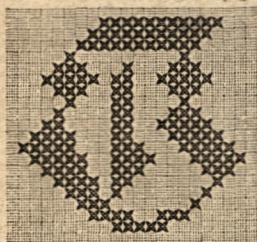
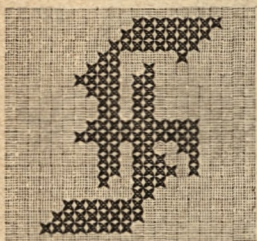
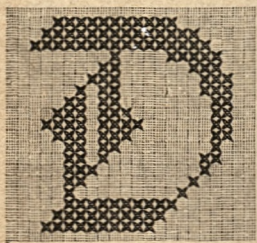
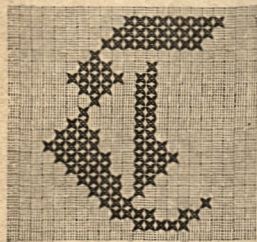
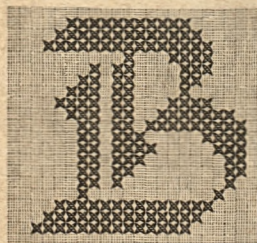
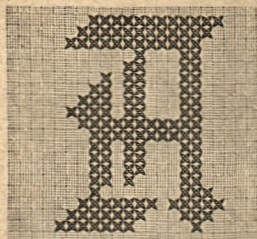
Wiśnie czarne suszone.

Wyborny ten owoc mało gdzie suszą — bo go i suszyć nie umieją. Otóż wyjąć pestki z zupełnie dojrzałych wiśien

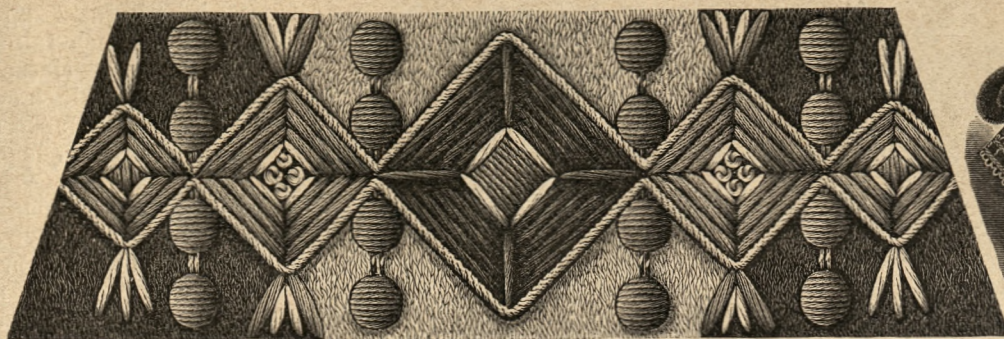


Nr 21. Suknia z etaminy w paski i w rzucik. Krój i opis pier. str. tabl. Nr IV, fig. 13 — 21.

Nr 22. Suknia z materiału „Loden”. Opis odwr. str. tabl.



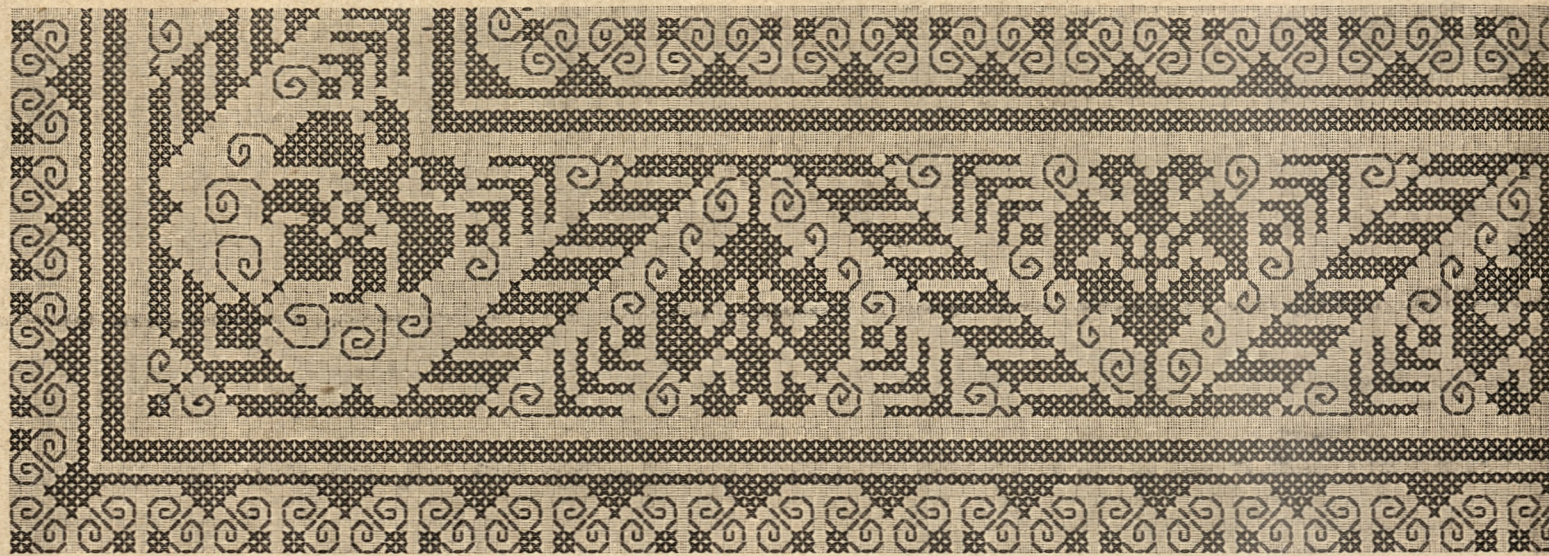
Nr 26. Znaki do bielizny.



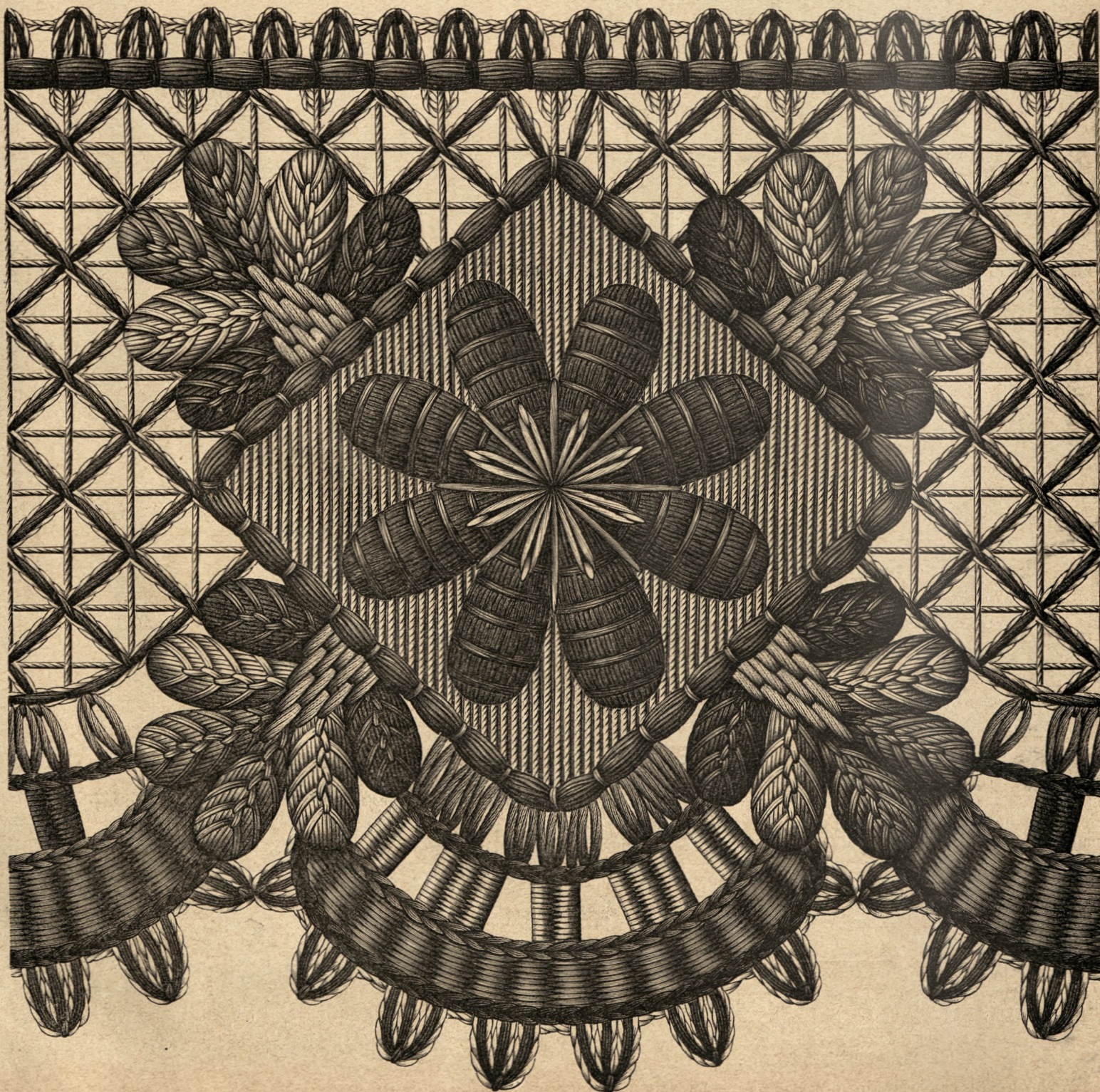
Nr 23. Wzoru do r. 24. Wielkość naturalna.



Nr 24. Poduszczyka do śpilek podwójnych płaskim, supełkowym, pocztowym i robotą szydełkową. (Do ryc. 23).



Nr 25. Szlak narożny do prześcieradeł krzyżowym i Holbeina ścięciem.



Nr 27. Szlak na meble ścięciem płaskim, łańcuskowym, pocztowym, cerowanym i rybiej łuszczy.